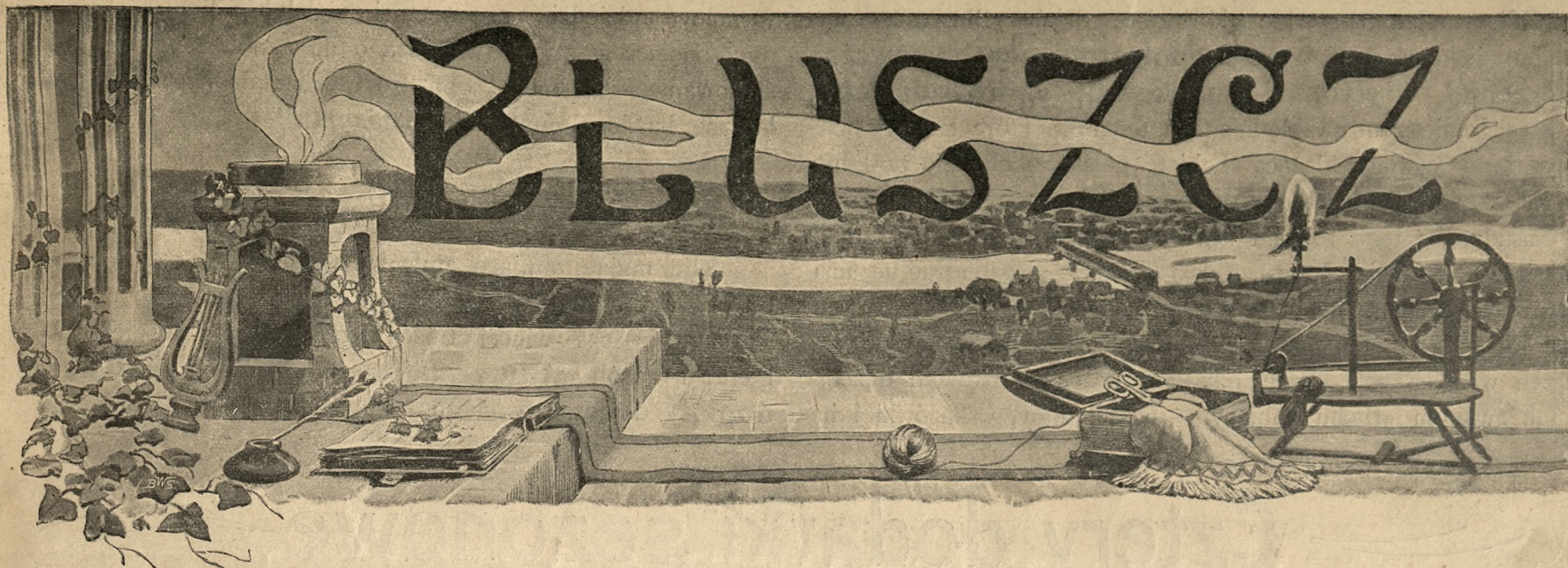




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Od Redakcyi.

Służymy dobrym Polkom, wiernym córom ukochanej Ojczyzny, światłym Obywatelkom kraju...

Pragniemy uświadamiać kobiety, obznajmiać je z ogólnym ruchem społecznym, ze wszystkim, co kulturę umysłu i serca stanowi, pomagać do krzewienia oświaty i zachęcać do pracy dla dobra powszechnego.

Trzeciemu pokoleniu Czytelniczek dostarczamy zdrowej i pożywnej duchowej strawy, a tradycja prawie pół-wiekowa pisma naszego, przemawia za uczciwością jego dążeń i kierunku.

W czasach, kiedy nie samem słowem, lecz czynami należy stwierdzać wyznanie swojej wiary, i umiłowanie celów upragnionych, nie chcemy marnować sił na obietnice prospektowe i załecanie «Bluszczu» Czytelniczkom; niech on sam za siebie przemawia.

Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, aby pismo odpowiednio do nowych warunków sytuacji rozwinąć, podnieść, ożywić jeszcze bardziej i godnie odpowiedzieć Waszemu zaufaniu, niewiasty polskie!

Wiemy i czujemy głęboko, jakie obowiązki i jaką odpowiedzialność wkłada na nas chwila obecna,—będziemy się z nią liczyli; swobodne, niezależne pismo polskie, któreby tych względów swej żywotności nie przestrzegało, poprzestałoby dobrowolnie na wartości nieużytecznej bibuły.

Orzeźwieni prądami nowej epoki, przystępujemy do dalszej pracy.

Szczęść Boże wszystkim, którzy pracują dla szlachetnych celów i poparcia swego im nie skąpią!

Jaśniejsza przyszłość będzie wspólną nagrodą.

„Bluszc” w roku 1906-ym pomieści w każdym z poszczególnych swoich działów tylko prace wyborowe, zajmujące, żywotne w treści, a wyróżniające się pod względem formy literackiej i poprawności języka. Przez kilka dziesiątków lat swego istnienia pismo nasze skupiało zawsze dobrane grono współpracowników, pomiędzy którymi znajdowali się najcelniejsi autorowie i autorki doby współczesnej.

Tak będzie i nadal.

Wobec powyższego zapewnienia, uważamy za zbyteczne przytaczanie całego szeregu znanych nazwisk, które i tak powtarzają się co roku w prospektach pism, pokrewnych nam duchem i charakterem. Niewątpliwie zależy nam na tem, aby blasku i świeżości dodawały «Bluszcowi» najświetniejsze firmy naszych pisarzy, ale jeszcze bardziej chodzi nam o to, aby każdy artykuł, podpisany czy nie podpisany, swoją wewnętrzną wartością i zaletami opracowania pobudzał umysł lub serce naszych Czytelniczek.

Jedyny wyjątek robimy w tym roku dla działu powieściowego, wymieniając autorów i tytuły utworów już przygotowanych do druku; a zatem pomieścimy oprócz innych:

Nowellę **Władysława Reymonta**

„Klasztor zasypyany,”

Humoreskę **Jana Łady**

„Dzień na Capri,”

powieść **Jerwicza** (pseudonym) „Baśń życia,”

Opowiadanie **Maryana Gawalewicza**

„Krew.”

W dodatku powieściowym wydrukujemy przekład jednego z najpiękniejszych utworów współczesnej belletrystyki francuskiej, p. t. „NA GAŁĘZI.”

Utrzymując wszystkie główne działy «Bluszczu» wypełniamy je artykułami o treści **społecznej, wychowawczej, literackiej, krytycznej, naukowej, sprawozdawczej**, ze szczególniejszym uwzględnieniem tematów, które każdą oświeconą i do oświaty dążącą kobietę polską obchodzić powinny; w doborze powieści, nowel, poezji będziemy i nadal kierowali się zasadą, że tego rodzaju utwory rzeczywistego talentu mają odświeżać, rozjaśniać umysł, a uszlachetniać i rozbudzać uczucia, jeżeli ich czytanie nie ma być w najlepszym razie marnowaniem drogiego czasu; popularyzacja wiedzy, skrzętne zapiski wydarzeń ważniejszych chwili bieżącej, wszelkie objawy i dążenia w tak zwanym «ruchu kobiecym» naszej doby, wskazówki i in-

formacje z dziedziny pożytecznej działalności kobiet u nas i w innych społeczeństwach, zwłaszcza o ile stanowią wzory godne naśladowania, — dostarczą obfitego i urozmaiconego materiału na łamach każdego numeru „**Bluszczu**.”

~ ~ ~ ~ ~

Nie mając zamiaru zmieniać warunków przedpłaty naszego pisma, a pragnąc Czytelniczkom naszym za tę samą cenę dostarczyć jeszcze więcej treści, któraby praktycznie uzupełniła literacki zasób „**Bluszczu**,” postanowiliśmy **bez wszelkiej dopłaty** dołączać w ciągu roku;

Cztery dodatki sezonowe

czyli co kwartał zeszyt w objętości około 40-tu stronic illustrowanego tekstu i 4 tablice kolorowane ze wzorami najświeższych mód paryżkich na każdą porę roku.

Zeszyty te utworzą w ciągu *wiosny, lata, jesieni i zimy* każdego roku **obszerny tom**, stanowiący sam w sobie zupełną całość, **odrębną od stałych dodatków** do «**Bluszczu**» dołączanych bez zmiany w dalszym ciągu do każdego numeru. Zapełni je treść, zajmująca i pożyteczna dla kobiet, bez względu na ich stanowisko społeczne, albowiem zarówno wytworna dama w salonie, jak praktyczna pani domu, zabiegliwa matka rodziny, gospodyni czy ochmistrzyni w najmniej zamożnym stanie, znajdzie tu mnóstwo potrzebnych, ciekawych i pouczających wskazówek z dziedziny mody, robót kobiecych, gospodarstwa domowego, sztuki kulinarnej, ogrodnictwa, etc., etc.

Na każdą porę roku postaramy się w naszych **Dodatkach sezonowych** dostarczyć Czytelniczkom «**Bluszczu**» artykułów treściwych, które je pouczą:

jak ubierać siebie i dzieci ze smakiem, zdrowo i praktycznie
jaki strój i jaka odzież w danej chwili są najmodniejsze
i najpraktyczniejsze,
jakie nosić i jak upinać kapelusze, jak się czesać.
jakiemi robotami ręcznymi najłatwiej się zajmować,
jakie robić zapasy w spiżarni i piwnicy,
jak urządzić i ozdobić mieszkanie.
jak hodować kwiaty pokojowe,
jak zakładać i utrzymywać ogródki przy domu,
jak sporządzać smaczne i tanie potrawy,
jak zastawiać stoły na codzień i na większe przyjęcia,
jak oszczędzać na czasie, wydatkach i materiałach w gospodarstwie domowym.

Dla matek dbających o powierzchowność i garderobę swych dzieci przeznaczymy osobny dział, obficie illustrowany.

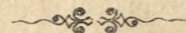
Mamy nadzieję, iż przez takie **powiększenie** objętości pisma **za tę samą cenę, co dotychczas**, bez względu na znaczne koszty, jakie ono za sobą pociągnie, uczynimy **Bluszcz** jeszcze bardziej pożytecznym i poczytnym organem w każdym domu polskim.

Jakkolwiek w czasach dzisiejszych uwaga publiczna skierowaną jest ku tylu innym przedmiotom, jakkolwiek materialne warunki naszego ogólnego położenia są ciężkie, niepodobna zlekceważyć potrzeby nieustannej kultury umysłu, dostarczania mu świeżych zasobów wiedzy, zajęcia, szlachetniejszej rozrywki, a zatem nie podobna wyrzec się najstosowniejszego ku temu środka, jakim jest staranna i dobrze dobierana lektura.

Dla kobiet zwłaszcza, powołanych obecnie na widownię działalności publicznej, na tak rozliczne pola pracy, — wykształ-

cenie umysłowe jest nie tylko umysłową potrzebą, ale obowiązkiem względem siebie i sprawy ogólnej. Upominając się o swoje prawa, trzeba je dobrze poznać, ocenić, rozważyć, aby je należycie bronić można było; trzeba wiedzieć, do czego dążyć, jakimi drogami iść do celu, jak te prawa zdobywać i jak je wykonywać z korzyścią rzeczywistą nie tylko dla jednostek, ale i dla całego ogółu.

Z tego względu pozwalamy sobie przypuszczać, iż **Bluszcz**, jako pismo, poświęcone wyłącznie sprawom kobiecym, przy dziejszych, o tyle swobodniejszych warunkach wydawniczych, pozyska sobie w roku czterdziestym drugim swego istnienia jeszcze większą wziętość i poczytność, a zadaniem Redakcyi i Wydawców będzie, aby i coraz więcej zdobywał chlubnego uznania.



Wszystkim prenumeratorom «**Bluszczu**» przysługuje prawo nabycia cennych wydawnictw po znacznie niższej cenie:

„Kobieta współczesna.”

Jest to dzieło niepospolitej wartości pod względem gruntownego opracowania, zawierające prace:

Bolesława Prusa, Piotra Chmielowskiego, d-ra Melanii Lipińskiej, Waleryi Marrené-Morzkowskiej, Mieczysława Karłowicza, d-ra Tomaszewicz-Dobrskiej, Anieli Szyćówny, Antoszeki, Maryi Dunin-Suligowskiej, Maryi Wiesiołowskiej, Zofii Smolińskiej, Józefy Kalenbachowej, H. Wiercińskiego i w. in.

Cena powyższego dzieła **rubli 3**, dla prenumeratorów «**Bluszczu**» tylko **tylko rub. 1**, z przesyłką pocztową **rb. 1 kop. 40**.

„ALBUM SZTUKI POLSKIEJ.”

Zawiera ono **200 artystycznych reprodukcji**, odbitych na oryginalnym papierze angielskim, z obrazów najznakomitszych naszych malarzy. Cena księgarska wynosi **rubli dziesięć**, dla prenumeratorów całorocznych „**Bluszczu**” **rubli pięć**.

Na wytworną oprawę ze złożonemi wyciskami i brzegami należy dolać **rub. 1 kop. 50 kop.**, za przesyłkę pocztową i opakowanie dolicza się **rub. 1**.

Redakcja „Bluszczu.”

TEODOR JESKE-CHOIŃSKI.

SĄD BOŻY.

OBRAZEK Z XII-go STULECIA.



(Ciąg dalszy).

VI.

Dzwon na wieży ratusza narbońskiego przypominał mieszkańcom zamknięcie bram. Już wieczór roztoczył swe miękkie skrzydła nad miastem, tłumiąc gwar dzienny. Od morza szedł chłodny powiew, zbliżającej się nocy poseł niezawodny.

W pałacu arcybiskupim, na dziedzińcu i w koszarach giermków pogaszono światła. Ludzie zabierali się do spoczynku. Tylko w głównej baszcie na pierwszym piętrze, gdzie przechowywano więźniów szlacheckiego stanu, jarzyły się jeszcze okna. Tam, w okrągłej izbie na kamiennej posadzce leżała krzyżem pani Azalais, modląc się cichym łkaniem niemocnej, bezradnej rozpacz, bo jutro, skoro słońce wychyli się z morza, powiodą ją za miasto na plac sądu. Już oznaczono szranki, zbudowano trybuny dla sędziów i widzów dostojnych, wbito nawet pal, aby ją do niego przywiązać i spalić, gdyby nie znalazł się liściowy rycerz, któryby chciał walczyć za jej cześć i niewinność. Jutro rozstrzygną się jej losy.

Od miesiąca czekała na wiadomość od Tiburgi. Codziennie wchodziła na sam szczyt wieży strażniczej, wpatrując się całymi godzinami w drogę północną. Może się nad nią ziomkowie zlitowali, może jąda, pomoc jej niosąc i zbawienie; pozna ich zdaleka, odgadnie ich, przeczuje sercem stroskanem.

I codziennie wracała do swego więzienia smutniejsza.

Od Tiburgi nie było wiadomości. Czyby ją spotkało w drodze jakie nieszczęście? Czyby daleka podróż wyczerpała siły staruszki i słabego wyrostka? Albo może odmówili rycerze normandzcy pomocy zapomnianej sierocie?...

Już jej zabrakło łez pod powiekami. Już tylko suchem, bolesnym łkaniem przerażonego dziecka, zawieszono nad przepaścią, prosiła Boga o zmiłowanie.

* * *

Około północy tego samego dnia zbliżała się do Narbonne drogą z Béziers gromadka jeźdźców. Było im widocznie bardzo śpieszno, bo pędzili przez noc miesięczną, jak gdyby ich czarna śmierć ścigała. Pochyleni na karkach koni, pokrytych białą pianą, lecieli w milczeniu. Słychać było tylko brzęk mieczów, uderzających o strzemiona.

Nagle osadził ten, który jechał przodem, konia w miejscu i wyciągnąwszy rękę w stronę miasta, zawołał:

— Narbonna! Przybyliśmy w porę.

Zatrzymali się wszyscy.

— Chwała Bogu—odezwał się drugi, oddychając głęboko. — Obawiałem się, że się spóźnimy.

Konie gryzły wędzidła, drżąc na całym ciele; pot spływał z nich strugami.

— Nam i koniom należy się uczciwy wy-

poczynek, abyśmy mogli stanąć jutro w szrankach—mówił pierwszy rycerz.

— Dobry sen wróci nam i koniom świeżość i siłę. Mamy czas do południa. Wypocznijmy.

— Jeżeli się nie mylę, jest za murami miasta jakaś oberża.

— Widać ją tam, na prawo. Jeszcze się w oknach świeci.

— Święty Jerzy, prowadź jutro nasze kopie i miecze, albowiem w sprawie uczciwej stawać będziemy; nie opuszczaj nas, patronie rycerzów, orędowniku niewinnych i pokrzywdzonych!

Wszyscy pochylili głowy, modląc się z cicha.

* * *

Ledwie świt rozwidnił wschodni skraj nieba, zerwało się całe miasto z posłania. Mężowie i niewiasty, dziewczęta i wyrostki, dzieci nawet—cała ludność Narbonne spieszyła się na niezwykle widowisko. Bo nie codzienne odbywały się w starym grodzie sądy Boże, i nie codziennie stawiała przed trybunałem najwyższym żona, oskarżona o współudział w zabójstwie męża.

Na wieżach katedry grały dzwony zaraz po wschodzie słońca. Sam arcybiskup celebrował Mszę świętą w stroju pontyfikalnym, modląc się długo podczas Podniesienia. Szczerem sercem prosił Boga, by nie opuścił nieszczęśliwej kobiety w najstraszniejszym dniu jej życia, by jej zesłał walecznego obrońcę. On jeden wierzył w niewinność pani Azalais, był przekonany, iż oskarżeniem Bertranda de Sizéan powodowała zemsta. Modlił się gorąco, bo zdawał sobie dokładnie sprawę z ciężkiego położenia osamotnionej wdowy. Nikt nie zgłosił się dotąd, jako jej zastępcę. Daremnie zwracał się sam do znanych z uczuć rycerskich panów narbońskich, daremnie posyłał gońców na drogę północną. Panowie narbońscy odmówili pomocy, a z Normandii nie przybywał nikt.

Jeden tylko Bóg mógł teraz ocalić opuszczoną przez ludzi sierotę. Jeśli On nie natęchnie w chwili ostatniej jakiego uczciwego, męskiego serca litością—znieważy ją kat i pozrą ją płomienie.

Tłumnie, z brzękiem wesołego gwaru wyroila się z katedry gawiedź narbońska. Cóż ją może obchodzić wina lub niewinność nieznaney kobiety? Ona chce się zabawić, doznać wrażeń niezwykłych. Będzie patrzyła własnymi oczyma na walkę śmiertelną rycerzów, będzie może widziała płonący stos, a w płomieniach postać niewiasty szlacheckiego stanu, wielką damę, zmieniającą się w popiół. Niechby ją spalili... Dlaczegoż możni tego świata nie mają ginąć śmiercią hańbiącą ku ucieście motłochu?

Przezorniejsi zabrali kosze z jedzeniem i napojami, aby im głód nie psuł widowiska. Oskarżona ma prawo czekać na obrońcę do południa, dłużej nawet, do nony *), a od wschodu słońca do nony daleko.

Za murami miasta, na rozległej łące odmierzył burgrabia już przed tygodniem sto pięćdziesiąt kroków wzdłuż i wszerz, oznaczył koło, kazał pacholkom zrównać, udeptać

ziemię i ogrodzić miejsce sądu mocnym płotem. Bo nie wolno nikomu, pod groźbą ciężkich kar, wtargnąć do środka i przeszkadzać walcącym. Tam, gdzie Bóg sądzi, ustaje ludzkie pośrednictwo... By zaś czasem ktoś gorętszy, namiętniejszy nie przeskoczył płotu, strzegą go dokoła uzbrojeni pacholkiowie miasta.

Słońce przygrzewało już dobrze, kiedy sędziowie wice-hrabstwa i panowie dworscy zajęli trybuny, ozdobione barwnymi kobiercami.

Plac sądu był jeszcze pusty. Tylko pod płotem widać było mary, przykryte czarnym sukniem,—przestroga dla krzywoprzysięcy. Na tych marach wyniosą go pomocnicy kata, gdy go Bóg osądzi.

Teraz podniósł hrabia de Lara, który zajął miejsce w środkowej trybunie z arcybiskupem i panem Odonem de Sabran, rękę, na znak, że się sąd rozpoczyna. Na znak ten odezwały się trąby, wzywające rozgwarzonych widzów do milczenia. Kiedy się uciszyło, odezwał się herold wice-hrabstwa głosem donośnym:

— W imię Trójcy św.! Rycerz lub giermek szlacheckiego stanu, któryby się ośmielił złamać szranki lub wpływać czemkolwiek na przebieg sądu Bożego, utraci prawą rękę; gminnego stanu człowiek, przekonany o tę samą zbrodnię, da gardło.

Powtórnie zagrały trąby. Przez otwarte szranki wjeżdżało wolno trzech rycerzów w pełnej zbroi, każdy ze swoim giermkim.

Uważnie spojrzął na nich arcybiskup i twarz jego zmierzchła. Na tarczach i hełmach rycerzy poznał znaki rodowe panów de Sizéan i de Gruissan. Nikt nie stawiał się w zastępstwie oskarżonej.

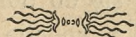
Grzmot okłasków powitał Bertranda de Sizéan. On, odsunąwszy kratę hełmu, dziękował ręką, schylając się przed trybunami i przed ludem. Bez trwogi w sercu tchórzliwym przekroczył szranki, wiedział bowiem, że rycerze narbońscy odmówili miecza, a z Normandii nie przybył nikt.

Zjadliwy uśmiech tryumfującego lisa przesunął się po jego wargach, kiedy dostrzegł panią Azalais. Siedziała na ławce pod trybuną sędziów w czarnej, wdowej sukni z głową pochyloną. Bolały ją, paliły, obrażały ciekawe spojrzenia widzów. Na chwilę tylko, kiedy utworzono szranki, spojrziała na plac sądu—spojrzała szybko i przymknęła powieki. Zapomnieli o niej wszyscy, nawet Bóg opuścił sierotę—zapłakało jej serce.—Niema już dla mnie ratunku na tej ziemi!

Ukrywszy twarz w dłoniach, zapadła w odrętwienie skazańca, który stracił ostatnią nadzieję i poddaje się bezwolnie przeznaczeniu. Słyszała, jak Bertrand de Sizéan, wezwany przez hrabiego de Lara, powtórzył głośno przed rycerstwem i ludem oszczerce oskarżenie, słyszała, jak zaprzysiągł swoje kłamstwo, słyszała, jak tłum, przekonany o jej winie, oburzony na żonę wyrodną, miotał na nią obelgi, domagając się natychmiastowego sądu. Nie przeczyła, nie broniła się, nie odpowiadała na pytania sędziów, obojętna na wszystko, co się dokoła niej działo.

(Dokończenie nastąpi).

*) Nona—godzina trzecia po obiedzie.



KASZTELANKA I KWIAT.



W zamkowym sadzie nad brzegiem wód
Chyli się kwiecie, burzą złamane,
I świszczę wicher i miota pianę
Na wyschłe płatki róż.

W spiżowe piersi zamkowych wrót
Do kasztelanki szturmują młodej
Szum rozkochanej błękitnej wody,
A szczęście stoi tuż...

Snać ją obudził ten szum i świt,
Bo jasna cała w mrokach krużganka,
Jak labędź spływa cna kasztelanka
Z malachitowych płyt.

Pod falującym sklepieniem drzew
Mknie coraz chyżej, mknie coraz dalej...
Ognisty dzban jej się w ręku pali
A w dzbanie — żywa krew.

Kręty wirydarz wód echem drży,
Przykłęka dziewczka na skalnym zrębie,
Przeszywa okiem spienione głębie
A w oczach świecą łzy.

— Ach, kasztelanko! czy ci nie żal
Nierozgorzałych przedświtów serca?
Kryształowego snu i kobierca
Umilowanych fal?

Nic jej nie wstrzyma, nie zbudzi nic!
Śmieje się morzu, śmieje się ziemi,
Czaruje słońce mgły tęczowemi
Jutrzenką szat i lic.

— Ach, kasztelanko! Jakież twój los?
Gdy zechcesz kwiecie poić krwią własną,
Kraśne jagody lic twoich zgasną
I zblednie złoty włos!

Próżne nadzieje! — za życia cud
Rumieniec wiosny da kasztelanką
Zdrój rubinowy toczy ze dzbanka
Na zwiedle płatki róż.

Na skalnym zrębie błękitnych wód
Żarem kochania i krwią pałaca
Pręży się cudnie w potokach słońca.

A szczęście stoi tuż.

Stefania Podhorska-Okolów.



LIST OTWARTY DO KOBIET POLSKICH.



Czyż serce polskie nie biło przyspieszonym tętnem? czyje oczy nie zasły łzami radości na widok naszego Białego Orła, powiewającego na sztandarach narodowych nad ziemią polską i tłumami jej synów! Czyż usta nie składały się do dziękczynnej modlitwy i prośby gorącej, aby Bóg dobry dawał nam siły i mądrości w świętej pracy około narodowego dobra!

Praca ta jest obowiązkiem nas wszystkich, zarówno mężczyzn, jak kobiet polskich, a zwłaszcza matek, których zasiew cnot narodowych rzucony w młodościane serca dzieci — to przyszłe czyny obywateli kraju.

Życie narodów płynie wciąż nieprzerwaną falą, a choć jednostki wpadające w sen wieczny nikną z powierzchni ziemi, jednak nie giną one w pamięci współbraci-rodaków jeśli umiały przyłożyć się do dobra ogółu.

Z pokolenia na pokolenie wraz z narodo-

wemi tradycjami przechodzi pamięć ta święta, a ktoś lepiej utrwalić ją potrafi od matek polskich, tworzących w duszach swych dzieci małe skarbcze narodowe, pełne wspomnień i nazwisk ludzi, którzy dzielnie służyli ojczyźnie?

Chociaż żelaznymi pętami niewoli przez długi szereg lat uciskano nam ducha, choć ból śmiertelnej trwogi przeszywał biedne serce matczyne na myśl o przyszłości synów, narażonych w każdej chwili na katusze niewoli więziennej, lub bezgranicznej tęsknoty na wygnaniu za ojcystym krajem, jednak te matki polskie nie ustawały w swym bohaterskim trudzie ani na chwilę i, gdy polskie dziecię zaczynało zaledwie pierwsze wyrazy ojcystej wymawiać mowy, już je uczono obok pacierza odpowiadać na pytania: „Kto ty jesteś?” — „Polak mały!” — „A twe go-dło?” — „Orzeł Białą” i t. d., codzienna zaś modlitwa polskiego drobiazgu płynęła i płynęła przed tron Przedwiecznego za pomyślność ojczyzny i spokój wieczny rodaków poległych w jej sprawie.

Tak, matki polskie nie ustawały nigdy w swej pracy zbożnej, wytrwałej, pamiętając o tem, że Polka po wsze czasy walczyła i walczy o dobro swej ojczyzny na równi z wielkimi bojownikami swego narodu, walczy i zwycięża, a jej bronią jest wielki hart duszy, oparty na głębokiej wierze i gorącej miłości dla rodzimych ideałów.

Lecz nie sama tylko dla swych dzieci praca obowiązuje Polki i jest ich zasługą; muszą ją one podejmować i względem uboższej duchem braci, podnosząc tego ducha prostaczków i wiodąc go z ciemności do światła, bo czy wiecie, co to znaczy być ubogim? wy wszyscy, którym nigdy prawie żaden brak w życiu nie dokucza? Czy zastanawialiście się kiedy nad taką nędzą, w której człowiek pracujący od rana do nocy w pocie czoła na chleb dla swej rodziny, chodzi wciąż w jednym, wytartym, cuchnącym, brudnym odzieniu i musi odmawiać sobie czystej bielizny, pożywnego posiłku i t. p. Czy zrozumiecie tych biedaków, myślących z troską o jutrze i czy potępicie ich gnanych biedą przez życie, że nie mają wprost czasu czuwać nad wyższymi, moralnymi potrzebami swych dzieci po nad tę — codzienną strawę.

Tam matki i córki polskie spieszcze z pomocą! tam skierujcie wszelkie swe usiłowania zbożnej pracy, działając słowem zachęty i sercem miłującym bliźniego, jak zaś ta praca miłą jest i owocną, niechaj zaświadcza wam ci wszyscy, do których garnęła się i garnie drobna dziatwa ludu po światło, w długie wieczory zimowe, z wytartą „lamentą” w pocierzanych przedwcześnie od pracy rączynach i słucha z podziwem opowiadania dziejów ojcystych, oraz różnych cudów ze świata nauki, dotąd dla tej dziatwy zamkniętego szczelnie.

Nie żałujcie jej chwil swego wolnego czasu, nie zrażajcie się lada trudnością, lub niepojętnością prostszych umysłów, bo ktoś dotąd pracował nad niemi? Małej garstce tych, którzy nie żalowali trudu swego w tym kierunku, jakąż pociechą i nagrodą jest obecnie przekonanie, że dusza ludu naszego nie przestała być polską, a serce miłować ojczyzny, bo na pierwsze echo narodowej pieśni: „Boże coś Polskę...” rozlegającą się od krańca do

krańca naszego kraju, ten lud odpowiada pełną piersią: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie” i kornie modli się za swoją ojczyznę.

A więc starajmy się podwoić swoją pracę, abyśmy miały prawo być dumnymi ze słów, którymi uczczono nas w narodowej pieśni: „Oj, nie zginęła ojczyzna nasza, dopóki Polki w niej żyją!”

Matka-Polka M. Rolicz-Staniecka.



Mikołaj Rej z Nagłowic.

(W pięćsetną rocznicę urodzin).



(Dokończenie).

Najważniejszą jednak księgą dla nas to część „Zwierciadła,” pisana prozą. Jest to rzeczywiste żywot pocziwego człowieka, przeprowadzony od przyjścia jego na świat, aż do ostatecznego kresu. Z ciekawością pytamy się: jak Rej pojmował sprawę wychowania młodzieży? I od razu spotykamy się z historyjką o małym chłopcu, któremu uczeni „praktykarze” przepowiedzieli, iż będzie miał tak srogą naturę, iż prawdopodobnie zostanie katem, albo okrutnym człowiekiem. Jakoż zdawało się, że chłopiec usprawiedliwiał tę wróżbę o sobie, bo jak tylko spotkał na swojej drodze jakie małe stworzenie, to mordował je bez litości. Nieszczęśliwy ojciec wpadł atoli na dobry pomysł, idąc za radami uczonych, i oddał chłopca do rzeźnika, a ów rzezając owce, barany, kozłeta, zadawałnią swoją żądzę krwi i wyszedł na bardzo porządnego człowieka.

Ta prosta historyjka daje więcej do myślenia, niż cały traktat pedagogiczny. „Cóż to jest? — pytamy się zdumieni. Więc ten „prosty Polak,” ten człowiek nieuczony, kierując się tylko swoim zdrowym rozumem i obserwacją życiową, wypowiedział zasadę, do wprowadzenia której w życie pedagogia nasza dziś, po pięciu wiekach, jeszcze nie doszła. Bo przecież nic innego Rej nie wypowiedział, tylko tę wielką prawdę, że żadnego instynktu danego człowiekowi od natury, zniszczyć nie można, można go tylko wychowaniem przeistoczyć, tak, jak zdołamy przeistoczyć jedną siłę natury w inną. Wobec tej wielkiej prawdy, tej wielkiej zasady pedagogicznej, już mniejsze wrażenie wywierają inne rady i wskazówki Reja, jako pedagoga, chociaż niemniej są one cenne. Wystarczy powiedzieć, że odrzuciwszy formy nieco przestarzałe języka i sposób wyrażenia, każdy z pedagogów dzisiejszych nie mógłby inaczej radzić troskliwej matce przy wychowaniu dziecka, jak ten pedagog z przed lat pięćset. Rej namawia aby postępować z dzieckiem łagodnie, nie gniewem, nie biciem, nie fukaniem, nie złością, bo się dziecko zahuka i ogłupi; nie przyuczać dziecka do zbytków, przesady w jedzeniu i strojach, ale prowadzić je ku dobremu dobrym przykładem, i, jakbyśmy dziś powiedzieli, chować je w atmosferze ludzi dobrych, przykładnych. Wieść ku dobremu, ale nie napędzać siłą, bo jak twierdzi z zupełną słusnością:

Większej rozkoszy ten zawždy używa,
Kto z cnoty dobrym, a nie z kija bywa.

Miłość do dzieci to rys wielce sympatyczny u Reja. Pełne wdzięku są jego obrazki z życia rodzinnego, gdy w nich występują dzieci.

Gdy mówi o dzieciach, zdaje się czytelnikowi, że widzi uśmiech na pocziwej twarzy tego polskiego „prostego szlachcica“, że ramiona jego roztwierają się, aby je objąć serdecznym uściskiem.

Drugą znaną cechą u Reja jest cześć dla kobiety, jako żony, matki i „towarzysza“ mężczyzny. A jakkolwiek w „Figlikach“ znaleźlibyśmy dosyć rzeczy swawolnych odnośnie do kobiet wogóle; jakkolwiek w satyrze jego: „Rozmowa Warwasa z Dykasem“ kobiety są przedstawione w barwach nie zbyt pochlebnych, to wszystkie te swawolności i docinki nie przechodzą poza próg domowego ogniska. Małżeństwo, dom, kobieta, jako żona i matka, są świętością dla Reja. Poucza on młodzieńca, zalecając mu stan małżeński: „Tedy już wiedz, iż bogactwo i insze przypadki pocziwości wszystko się to może od ludzi przytrafić, ale żona dobra a pocziwa, ta pewnie od Boga tobie jest dana.“ Żonę nazywa „szlachetnym klejnotem“, darem „Bożym.“ Jeżeli mąż pragnie mieć dobrą żonę, niechże będzie dla niej takim, jaką chce, aby ona była dla niego; niech jej nie daje złego przykładu z siebie, ani powodu zgorszenia. Szczęście domowe w otoczeniu dobrej żony i dzieci maluje tak miło, tak ponętnie, że wprowadzeni przez autora w to zacisze domowe, gdzie wszystko dokoła oddycha ładem, dostatkiem, zadowoleniem i spokojem, my, ludzie dzisiejsi, ze starganymi nerwami, przymykamy zmęczone oczy i mówimy z westchnieniem: Jacy ci ludzie szczęśliwi! Jakby nam tu dobrze było wypocząć na chwilę, wśród naszego gorączkowego życia!

A tych szczęśliwych domów szlacheckich było dużo, bardzo dużo, w ówczesnej Polsce. Bo Rej, tworząc swoje obrazki, nie pracował wyobraźnią, on je brał pełnymi rękami ze swego otoczenia, malował to, co widział, na co patrzył, czego sam doznał. Wzlotu, wyobraźni nie znajdziemy u niego, trzyma się nisko ziemi i ani mu ochota przyjdzie wleciec na wyżyny, bo jak twierdzi:

Nawiejszy rozum, kto poznał sam siebie,
A z bujną myślą nie lata po niebie.

A chociaż wytyka swoim przez usta Solinusa:

Także i my, prawiechmy puhać a sowy,
Bo nigdy, gdzie jest jasno, nie wznosimy głowy.

Ale w pojęciu jego jest to światło, którem przyświeca rozum, a właściwie powiedziałwszy, zdrowy, praktyczny, życiowy rozsądek. Uzbrowiony nim „prosty szlachcic“ polski przecina najzawilsze kwestye, zaleca nie bohaterstwo, nie dążności szczytne lub podniosłe, ale praktykowanie cnót, które w każdym katechizmie zalecane bywają; nagroda zaś życia cnotliwego i uczciwego jest równie praktyczna i nie wysoko leżąca: zdrowie, szacunek i przyjaźń ludzka i spokojne używanie dóbr tego świata.

Jedno jest wszelako, co nadaje zasadom i przekonaniom jego cechę podniosłą, pomimo,

iż nie przechodzą one zakresu pospolitej miary; to głęboka wiara, że panowanie nad światem dierży cnota, a złe zawsze upaść musi. Bo chociaż wyżej wzmiankowany Solinus mówi:

A tak, ten nikiemny świat jest prawie jaskinia,
Ona czysto lotrowska, a gorszy niż ś.....

To wszelako:

Żadnym obyczajem inac nie może być,
Każdemu się zła służba musi źle zapłacić;
A dobremu też dobrem musi być oddano,
Bo ten dekret już dawno na świat wywołano.

Cnota zatem głównym celem dążności i usiłowań człowieka być powinna, dlatego też swego młodego szlachcica poucza z przekonaniem, że szlachectwo opiera się nie na oznakach zewnętrznych, nie na herbach, ani sygnetach, noszonych na palcu, lub wieszanych na szyi, ale oparte powinno być na cnocie, a życiu bez zarzutu. Na nie chętnie się ze sławnych przodków, jeżeli się nie jest ich godnym. „Bo jeśliś się ty wyrodził z nich jakimi wszetecznymi obyczajami swemi, tedyby ich śnać lepiej i nie wspominać, boś je już zelżył, a by byli żywi, barzoby się gniewali, że się ich potomkiem zowiesz.“

A tych niegodnych potomków szlacheckich cały szereg przesuwają się w utworze Rejowym. Są to szkice robione gwaszem, od ręki, ale co za dosadność, jaka plastyka w ich odtworzeniu, a realizm! Pozazdrościłby mu go każdy z artystów, naturalistycznej szkoły. Te typy pyszałka, strojnisia, opoja, żarłoka występują jak żywe i domagają się ręki jakiego polskiego Hogartha, aby je odtworzył. Są to postacie żywem zaklęte z ówczesnego społeczeństwa, równie jak obrazki rodzajowe z życia „chudzi“, handlującej na krakowskim rynku. I wszystkie dzieła Reja tak treści satyrycznej, jak moralizatorskiej pójdą w zapomnienie, ale jego „Żywot pocziwego człowieka“ każdy czytać będzie i czytać musi, kto tylko chce poznać owo społeczeństwo szlacheckie z XVI-go wieku, odtworzyć sobie jego fizjognomię i poznać jego ducha. Było to ostatnie dzieło jego i najlepsze. Wypowiedziawszy się w niem, umilkł. Zbliżał się też już i kres ostateczny po żywocie spędzonym uczciwie w służbie swemu ogółowi. Czuł to sam autor i wypowiedział w wierszu do Boga:

Ty też, mój miły Panie, z nieba wysokości
Przyjm więc ducha mego, ziemia niech ma kości
Kiedy przyjdzie już onczas zawołania Twego,
Raczysz mnie sobie przyjąć za własnego swego.

Ostatnim aktem jego żywota było podpisanie Unii Lubelskiej, do czego oddawna nawoływał współbraci. I tegoż roku 1569-go zeszedł ze świata. Pocziwy człowiek i pełen zasługi pisarz. On pierwszy podniósł literaturę w mowie ojczystej do godności i powagi; nadał jej władzę i znaczenie. Do jego czasu czytano żywoty Świętych i przypowieści Marchołtowe; on przyjął tę mowę, ukształtowaną w domu i kościele, okrzesał, wyrobił i stworzył z niej język silny, obrazowy, jędrny, dosadny, aczkolwiek nie wolny od wyrażań prostych i trywialnych. W języku tym stworzył całą literaturę, przyuczył ogół, że zaczął czytać i cenić swojskie utwory na równi z łacińskimi. Pomysł przyjął z dzieł obcych,

lecz obrobieniem i wykonaniem nadawał im barwę i cechę miejscową, aż w końcu wydał dzieło, będące wiernym odbiciem życia, wyobraźni i pojęć ówczesnego społeczeństwa, którego on sam był najwierniejszym wyobraźnikiem, nie przechodząc skalą swego ducha przeciętnej miary „pocziwego“ ówczesnego szlachcica. Ale właśnie ta przeciętność zapewniała mu wpływ na umysły współczesnych, które, aby go zrozumieć, nie potrzebowały się wysilać, ani pracować nad osiągnięciem do jego skali — był rozumiany, pojęty i odczuty. To zaś, ku czemu skłaniał umysły, było znaczne, rozumne, nacechowane duchem cnotliwym i obywatelskim. Powołanie bowiem pisarza stawiał wysoko, pojmując je jako rodzaj kapłaństwa, a pojęcie to, zapoczątkowane przez pierwszego twórcę literatury polskiej, przejdzie w dziedzictwie aż do wielkich romantyków. Nie miał geniuszu, aby tworząc literaturę narodową objawił ją dziełem natchnionem, był on torującym ścieżki temu, który miał się narodowi ukazać, a którego on przy schyłku życia uznał, jako tego, „który ma przyjść.“

E. Jerlicz.



D-r Henryk Nusbaum.

SERCE.

Odczyt na Osady Rolne

wyłoszony w Warszawie dnia 21-go Marca r. b.



(Ciąg dalszy).

A któż nie kocha owych geniuszów wyobraźni i uczucia, za których ducha porywem unosimy się w uroczę sfery poezji i marzeń, w dziedzinę wstrząsających wzruszeń i najtkliwszej uczuć muzyki?

Czyż serce nie miłuje rzewnie Jana z Czarolasu, Adama, Juliusza, Zygmunta, Kornela i wielu, wielu innych, których drogie cienie żyją w pośród nas.

Czyż serce nie kocha gorąco Elizy, Maryi, Bolesława, Stefana i wielu, wielu innych, których serca tętno żywe a szlachetne budzi w sercach naszych najszlachetniejsze oddźwięki?

A zaiste, czcigodnych wieszczów zastępy lśnią i po za krańcami rodzinnej ziemi naszej i po za krańcami stulecia bieżącego i przeszłego i przez dalakie wieków ubiegłych błękity przedzierają się blaskiem widomym, jasnym, nieśmiertelnym i śpiewają i braciom i synom, i wnukom, i najdalszej potomności, i śpiewają nie tylko ziemi rodzinnej swojej, ale wszystkim dzieciom ziemi.

I ku wszystkim tym, znanym nam mocarzom słowa, uczucia, myśli i wyobraźni biją bogate snopy świetlanych emanacji miłości, z nieprzebranego jej źródła, z serca naszego!

A któż nie kocha wdzięcznie owych geniuszów myśli, którzy ciemną ongi, w nieświadomości śnie głębokim pogrążoną myśl czło-

wieka stopniowo rozjaśniali wzrastającą w blaski świetlane zorzą wiedzy i poznania—przed których orężem zdobywczym, choć nie krwawym, pierzchały czarne cienie ciemnoty i barbarzyństwa i pierzchają wciąż z wolna, ale stale, bezustannie?

Czy kolebką waszą Stagir, czy Syrakuzy, czy Ateny, czy Kos, czy na imię wam Baruch, czy Erazm, Izaak, czy Mikołaj, Imanuel, czy Karol. Ojcowie światła! Karmiciele myśli! szlachetni piloci, którzy rodowi ludzkiemu torujecie drogę ku dalekim horyzontom osiągalnej prawdy po przez skały i wiry niebezpiecznych błędów, przesądów, złudzeń. Ku wam wszystkim myśli mocarzom biją świetlane snopy świetlanych emanacji czci i miłości wdzięcznej z nieprzebranego jej źródła—z serca naszego.

A któż nie kocha miłością najgłębszą, czczią najpokorniejszą i podziwem zdumionym onych geniuszów czynu, którzy na proporcjach swoich już nie piękno, i nie prawdę, i nie pieśń, i nie sąd oderwany, ale dobro i sprawiedliwość nakreślili?

A zwłaszcza tych rodu ludzkiego dobrodziejów, którzy w imię dobra, w obronie sprawiedliwości, w orędownictwie cierpiących i pokrzywdzonych sami cierpieli, sami znosili męki i udręczenia, przelewali krew własną, zlewali się potem zimnym mąk i konania długiego, ciężkiego.

Umilknijmy wobec tego majestatu człowieczeństwa.

Tu słowa — to świętokradztwo!

O serce! serce nasze, jakże wielkim jest ból twój—żeś tym razem tylko sercem ludzkim! Tu wszystkie miłości twej zasoby nie dorastają pragnienia twego rozdawnictwa jej. Tu wielkość twej miłości, mierzy się li wielkością cierpienia twojego. Tu samopoczucie rozkoszy wielkiego miłowania, staje się tobie samopoczuciem rozkoszy wielkiego współcierpienia!

Jakkolwiek związki krwi są niejako rozprzestrzenieniem własnej naszej jaźni, niemniej w miłości pokrewnych nam osób drgają żywo tony prawdziwego altruizmu.

To samo serce nasze, które kocha rodziców i dzieci, dziwnie piękną miłością oplata siostry nasze i braci...

Tkliwe promienie miłości, bijące od siostry ku bratu, są niemal piękniejsze od miłości macierzyńskiej—gdyż niema tu czynnika żywiołowego, graniczącego z instynktami najpierwotniejszymi. Jest tu więcej czystego ducha, a węzły tożsamości krwi działają tu bardziej bezwiednie.

Matka kocha dziecko, bo to jej krew i ciało, to jej ból i cierpienie,—siostra kocha brata, bo go kocha, bo kochać go nauczyło ją współżycie, bliskość sama, cel narzucający się niejako nieprzebranym zasobom miłości jej serca, wspólna wreszcie cześć i miłość jednych rodziców.

Ojciec kocha syna, bo to krew jego, bo to nazwisko jego niesione w przyszłość, bo odpowiada zań niejako wobec przyszłości, a siła lub sława syna zdobi w wawrzyn chwały skroń ojcowską. Brat kocha brata, bo go kocha, bo braci wiąże jednych cześć i miłość

rodziców, jedna tradycja, wspólność wrażeń przeważna, słowem warunki splatające węzły wielkiej, na czynnikach duchowych opartej przyjaźni.

I dlatego mniej nawet czułe serce matki dzieci swe jeszcze kocha bardzo i trzeba patologicznego serca niewieściego zwyrodnienia, by uczucia miłości macierzyńskiej w niem zbrakło.

Zdarza się natomiast, że mało uduchowione i mało czułe serce siostrzane obojętnem jest dla rodzeństwa swojego, a tam, gdzie interes osobisty na szwank narażonym być może, powstać może w sercu siostrzanem nieubłagana, okrutna nawet nienawiść. Balladyna i Halina, to potężnie i jaskrawo skreślony obraz uczuć, które w mniej tragicznych formach nie tak wyjątkowo rzadko spostrzegać się dają, jak również nie wyjątkowymi są stosunki uczuć pomiędzy braćmi, natężeniem tylko różne od stosunku, biblijną uwiecznioną legendą Kaina i Abła.

Ale nie naszym jest tu przedmiotem analiza psychologii serca ludzkiego, a tem mniej jego grzechów. Przeciwnie, wyłącznem tu zadaniem naszym jest wskazać na dodatnie — i powiedzmy: najnormalniejsze—potoki uczuć, których serce ludzkie jest, lub być może źródłem nieprzebranem.

Miłość też rodzeństwa, która bez wątpienia mniej ma w sobie instynktowej, żywiołowej, fizycznej potęgi, a więcej strun czysto duchowych, jest miłością bez namietności, miłością bez popędu, miłością, w której tkliwa przyjaźń duchowa wywołana bardziej czynnikami zewnętrznymi, niż jednością krwi, wytryska z serca przepiękną promieni aureolą, która bratu daje nieraz najwytrwalszą podstawę mocy charakteru, szlachetnych dążeń, pociechę najtkliwszą i najskuteczniejszą podniecie, — która siostrze daje najmocniejszą oporę i obronę, najskuteczniejsze w burzach i zdarzeniach życia orędownictwo.

Na dnie miłości siostrzanej czy braterskiej i w ogóle opartej na stosunkach pokrewieństwa, majaczy bądź co bądź silniej lub słabiej w świadomości odczuta krwi jedność, ale z nieprzebranej skarbnicy miłości, która się zwie sercem ludzkim, wybiegają inne jeszcze snopy uczuć:—przyjaźni, braterstwa z wyboru!

Synu ziemi! zaprawdę jesteś olbrzymem, albowiem w łonie swoim dźwigasz słońce.

Słońcem twojem jest serce twoje.

A jako w jasności białej onego słońca światła drgają obok siebie pospołu różnobarwne tęczy promienie—tak i w jasności, która z serca ludzkiego wypromienia zorzą świetlaną, drgają okok siebie różnoimienne miłości tęcze barwy.

Swoistej barwy są promienie *przyjaźni*.

Mieszają się one i z promieniami miłości kochanków i rodzicielskiej, i synowskiej, i braterskiej — ale są w sobie wibracją odrębną, swoistą, a w czystej, jednorodnej wiązce biją ku tym, których przyjaciółmi mienimy.

Przedziwne, czyste, słodkie są fale przyjaźni!

„Kto przyjaźni nie doznał, ten nie żył,“—mawiali Rzymianie.

— Usunąć przyjaźń ze świata, znaczyłoby zachwiać podstawami życia społecznego,“—powiedział La Rochefoucault.

„Darem Bożym, wdziękiem słodkim ludzkości jesteś bozka przyjaźni,“—wyrzekł Bernardin de St.-Pierre.

„O bozka przyjaźni, o szczęśliwości doskonała!“—wyrzekł się Voltaire.

Przyjaźń jest pierwszym przejawem miłości prawdziwie altruistycznej—w której ostatnie zanieczyszczenie choćby atomem jednym naszej własnej krwi, najsubtelniejszą choćby cząsteczką naszego *ja*—już znikło doszczętnie.

Kochamy przyjaźnią prawdziwą li duchem nam pokrewnych!

Jeżeli na powierzchni lądów przeważa olbrzymio barwa zielona, a rzadkimi względnie są na niej plamy barwy pomarańczowej, nie dowodzi to, że w słońca atmosferze przeważają promienie zielone nad pomarańczowymi. Wszystkie barwy tęczy w równym bogactwie wylewa słońce w przestrzeń, jest to tylko własnością przedmiotów ziemskich, że liczniejsze z nich odbijają w przestrzeń barwę zieloną, mniej liczne pomarańczową i t. d.

Promienie od atmosfery słonecznej płyną, choćby i wcale nie były odbitymi.

W pojęcie przyjaźni wmieszczamy pewną konieczność jakoby wzajemności, a dla przyjaźni silniejszej ograniczamy wzajemność tę do szczupłej liczby jednostek, sądzi też wielu, że tylko we wzajemności tej dwie jednostki mogą przyjmować udział. Niektórzy jeszcze dalej idąc, wątpią o wzajemności w przyjaźni zupełnie, a więc i o przyjaźni samej, której jakoby bez wzajemności pomyśleć nie można, tak wyrzekł Bossuet: „Przyjaźń jest tylko wyrazem, którym się ludzie ludzą wzajemnie.“

Że mało jest osobników zdolnych zwracać z łona duszy swej promienie przyjaźni, że często jeden je tylko wiernie odbija, że czasem ani jednego w pielgrzymce życia nie napotkamy przyjaciela, to nie zmienia faktu, że z nieprzebranego źródła miłości, z serca naszego, emanują promienie przyjaźni, które nie odbite i bez oparcia w przestrzeń uchodząc, zostawiają w nas uczucie nieukozonej tęsknoty.

Przyjaźń za to, uzupełniona wzajemnością daje nam zdwojoną rozkosz: rozkosz wywołaną przez strumienie spływającej ku nam miłości — rozkosz, że z własnego serca wylewać możemy strumienie przyjaźni podejmowanej rozumianej, odczutej.

Przyjaźń jest pierwszym przejawem miłości prawdziwie altruistycznej—ale towarzyszy jej pragnienie wzajemności, bez której ogarnia nas uczucie żalosnej tęsknoty!

Ale w promiennej serca człowieczego koronie, drgają inne jeszcze tęczy miłości promienie:

promienie, które z łona serca uchodząc, zostawiają w niem poczucie najwyższej rozkoszy, a dobiegłszy celów, ku którym mierzone były, niecą tam jasność radości;

promienie, które przenigdy jałowo w przestrzeń nieskończoną nie uchodzą, ale na ziemi tej naszej mnóstwo spotykają ognisk, w których energię swoją w owocne przelewają wibracje;

promienie, które, gdy serce nasze wokół

siebie je rozprasza, wzajemności żadnej nie pragnie i nie czeka, za nią w tęsknocie żalostnej nie wzdycha i jedyne wielkie szczęście znajduje w tem, że brzemienne będąc falą miłości, falę tę w najszersze koryta, wokół siebie wylewać może;

promienie — miłości bliźniego.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Aniela Tripplinówna.

Z pobytu na dalekim szlaku.



(Ciąg dalszy).

Jedenaście rodzin chłopskich spędzało pod naszym dachem miodowy miesiąc. Widzieliśmy, że ich program weselny jest w miniaturze programem nowożeńców najdostojniejszych i najbogatszych, że ich małżonki tak samo murem chińskim są odgródzone od zetknięcia się z towarzystwem mężkiem, że ich rozrywki wieczorne tak samo polegają na drzemaniu, próżnowaniu, spokojnej grze w szachy, w kości lub w karty.

Zobaczmy, jakie jest ich obecne położenie materialne, jakim ich poziom umysłowy, jakie są ich ideały. Mówię *obecnie*, bo pomimo trwania w dawnych przesadach i trzymania się tradycji, oni jednakże od r. 1861-go, dzięki cudzoziemcom, a zwłaszcza zakonom i klasztorom francuzkim, dzięki kolejom żelaznym, zrobili ogromny krok naprzód i w chatach góralskich wygląda dziś inaczej, niż przed katastrofą rzezi.

Na jedenaście rodzin, z którymi tutaj obcowalam tygodniami całemi, siedm należy do zamożniejszych, posiadających gospodarstwa dobrze urządzone, inwentarza, gruntu i lasu dosyć, żeby złożyć hołd należny Hymenowi, bez składek, zebrani i inaugurowania epoki nędzy najstraszniejszej po powrocie do domu.

Z powodu obfitości dzieci, które tu są witane jako dowód błogosławieństwa Bożego, gruntu się tak rozdrabniały, że żaden potomek dawnych wasalów feodalnych nie może żyć z ojcowizny, tem bardziej, że podatki są wysokie, urzędnicy tureccy chciwi łapówek, a sąsiedztwo dzikich Druzów, zwykle połowę wioski w posiadaniu dzierżących, na ciągle naraża straty i grabieże, mimo to jednak ogół włościan nędzy nie zna, zawdzięcza zaś obecny dobrobyt znajomości obcego języka, okrzestaniu, wyniesionemu ze szkoły angielskiej albo francuzkiej, przesiedlaniu się na pewien przeciąg czasu do Ameryki lub Australii.

Od lat kilkunastu tego rodzaju chwilowa emigracja jest błogosławieństwem całej Syrii. Niema okrętu, któryby setkami nie zabierał tutejszych mieszkańców rozmaitej sfery, zwłaszcza włościańskiej i nie wioził na krańce świata.

Jak zdolnym jest lud tutejszy, kiedy raz weźmie się do pracy, i zachęcony przykładem innych, pracowitszych plemion, wyteży wszystkie siły dla dopięcia celu — najwymowniej wykazuje statystyka. Począwszy od pierw-

szych pionierów postępu, nie było wypadku, żeby ci, którzy raz mieli odwagę sięść na okręt i zerwać z zebranią i z kradzieżą, nie przyselali najlepszych o sobie wieści i nie wracali po 6—8 latach ze sporym kapitałem do ojczyzny. Fizycznie silni, barczyści, używani za Oceanem do najpośledniejszych, lecz dobrych muskułów wymagających zajęć, zarabiają dużo, wydają mało, bo ryż, jarzyny, owoce, wystarczają doskonale na ich odżywianie. Nie umiejący nawet czytać, tyle jednak posiadają sprytu handlowego, że po krótkim przeciągu czasu w fabrykach i magazynach stają się pożądanymi pracownikami. Przykład pierwszych pielgrzymów, którzy wrócili z majątkiem, z innym polem cywilizacyjnym i raźnie ziemię na Libanie i Antylibanie, albo pałace w miasteczkach zakupywać poczęli, zachęcił i wciąż zachęca współbraci.

Co atoli dziwniejsze, iż znalazły się i kobiety, dość odważne, żeby spróbować sił, marnowanych od tylu stuleci w haremowym zbytku i niedołęztwie. Góralki zaczęły towarzyszyć swoim mężom i ojcom, matki z młodszem rodzeństwem zostawały w chatach na gospodarstwie, młodzietkie żony, starsze dziewczęta spieszyły na okręt. Po latach kilku, pięciu, sześciu, czasem więcej, ku ogólnemu podziwieniu wracały z własnymi kapitałami, i już na własne imię zakupywały grunta, domki, sklepy.

Poznałam kilka młodych mężatek, które pracowały w północnej Ameryce i wróciły z dobrze wypełnionymi kieszeniami, choć nie raz ztamtąd zapomogę przyselały dla młodszego rodzeństwa. Wyjechały 13-to lub 15-to letniemi podlotkami z braćmi lub ojcami, pracowały w fabrykach, w magazynach, gdzie się dało, tęskniły za cudownym syryjskim klimatem, za rodziną, lecz wytrwały i wróciły z pieniędzmi.

Cztery z pomiędzy nich zaręczyły się z Arabami tam za Oceanem, lecz na gody weselne i na wspólne życie pospieszyły do domu. Trzy przybyły do biednych narzeczonych, którzy, nie mogąc opuścić matek owdowiałych, licząc obarczonych rodziną, wyczekiwali na ukochane kuzynki, albowiem były to siostry cioteczne. W tej sferze mieszkańcy Libanu również żenią się często z najbliższymi krewnikami.

Wszystkie siedm mówiły zupełnie płynnie po angielsku, nadzwyczajna jest bowiem zdolność językowa plemion wschodnich. Ochędóztwo zagraniczne, dużo szczegółów w toalecie, w gestach, w sposobie mówienia, a nawet chęć czytania łatwych książek, romansów, zdradzają osoby, które widziały inny świat, innych ludzi. Mężowie, którzy obcowali z więcej wykształconymi Amerykankami, nie mają tutejszej ospałości, czytają gazety i porządnie chodzą odziani, niż ich libanowi krowni, różnią się od nich nawet sposobem modlenia się w kościele, spokojnym, bez obcałowowania murów, obrazów, posągów, bez częstego skrapiania się wodą święconą, bez nieustannego przytłękiwania i gwałtownego bicia się w piersi, co razu robią wrażenie ludzi, inną cywilizacją owianych.

— Zdaje mi się — rzekłam raz do zgromadzonych w jednej komnacie kilku małżeńskich stadeł, — przekonaliście się państwo, że można pozostać uczciwą kobietą, pomimo, że

się samej wychodzi na miasto, widuje mężczyzn i razem z nimi pracuje. Przekonałyście się panie, że kobieta może zostać cnotliwą i czuć się szczęśliwą, pomimo pracy za domem, na którą ją los skazuje.

Na uwagę moją odpowiedział mi, jak zwykle w takich razach głośny, ironiczny śmiech, szydłszy, złośliwy śmiech Arabów, potem usłyszałam takie, mniej więcej odpowiedzi:

— Nie, pani, bynajmniej nie przekonaliśmy się, żeby było lepiej tak, jak tam jest. Dajemy najlepszy dowód potępienia zasad, które tam żyją, jeśli żaden z nas nie chce się żenić z cudzoziemką, lecz zebrawszy trochę pieniędzy, czempredziej po żonę spieszy do swego kraju, albo jeśli niema o czem wrócić do domu, tam szuka Arabki.

— My, — odzywa się znów drugi włościanin, uważamy lata tam, na obczyźnie przeżyte, jako lata udręczenia, pokuty, więziennej męczarni. Niemasz dnia, niemasz godziny, żebyśmy się do Boga nie modlili o najprędniejszy powrót w rodzinne strony, do naszych chat, do naszego trybu życia, do naszego lubego sypiania na podłodze, a zwłaszcza do naszych niewinnych, skromnych kobiet — lecz cóż począć wobec nędzy, którą nam tu sprowadził przeklęty Turek z jednej strony, stokroć przeklęty Druz z drugiej. Dawniej, to nasi panowie z pałaców i dworów dzielili się z nami zbożem, winogronem, tytuniem, drzewem — a potem i oni zbiednieli, powypredawali grunta i lasy i także w świat wędrować musieli.

Turek gniece i gniece, podatki sściaga, a drogi żadnej nie poprawi, więc zimową porą, gdy nam śniegi wszystko na wyższych wzgórzach zasypia, to choć umieraj z głodu. Nawet i po jałmużnę nigdzie trafić nie można. Ludzi zaś coraz więcej przybywa. Dzieci nie pytają, czy będzie co jeść, czy nie, tylko gdzie mąż jest i żona, rodzą się i rodzą. Głód po 70-ym roku doszedł u nas w górach do tego stopnia, żeśmy pozjadali wszystkie ptaszynki, wszystkie domowe słowiki, wszystkie szczury, a co najgorsze, najulubieńsze nasze koty. Na wiosnę nie było już czego zabijać, i niema sposobu wybrnąć, nigdzie ścieżki, śniegi sypią i potokami zalewają ze szczytów. Choć własne zjadają dzieci!

Ha! po takich kilku strasznych zimach, radzili Lazaryści, Jezuci, Anglicy, którzy tu szkółki nam wszędzie zakładają, żebyśmy jechali w świat po zarobek. Długo, długo ojcowie nasi się wahali, niektórzy w łeb sobie palnęli, a nie pojechali. W końcu znalazło się 300 bohaterów. Wywędrowali. No i tak im się powiodło, że za nimi w ślad tysiącami jadą teraz synowie, wnukowie, a niestety, nawet i wnuczki. Lecz pani! że jechać musimy, to jest konieczność, a nie upodobanie, to jest najwyższe nasze nieszczęście. Dla nas dwa nieszczęścia, a dla naszych młodych dziewczyn pięć nieszczęść. Bo co to za pokusa na każdym kroku! W fabryce to te nasze gołąbki, które strzeżemy w chacie tak, żeby najbliższy nawet sąsiad twarzy dziewczyniny ośmioletniej już nie zobaczył, w fabryce obok chłopców zwijają papierosy, łokciami się dotykają przy klejeniu pudełek. Dosyć; tego napatrzyliśmy się własnymi oczyma — kto z nas może przysiądz za cnotę takiej dziewcz-

czynny? Pokusa to wszystko — a niech pani pamięta, że krew wschodnia to nie mazgajowata krew amerykańskich panien, które i z nami urządziły jakieś *flirty*, jakieś *na niby kochania*. Jak żądaliśmy prawdziwego kochania, to tłómaczyły nam, śmiejąc się, że takie figle czorcie już całem są kochaniem. Niech dyabli biorą takie kobiety i takie kochania!...

— Jednakże, pomimo tego, co panowie mówicie o niemożności ustrzeżenia cnoty wobec podobnego obcowania z mężczyznami, ożeniliście się z kobietami, które pracowały za granicą i żyły w ciągłym zbliżeniu z mężczyznami...

— Tak, tak, ożeniliśmy się, bo nam tam w oddaleniu od innych naszych dziewczyn, te biedaczki w oko wpadły. Słowem, zakochaliśmy się. Już my tam oczy zamykamy na to, co mogło być i bywać tam, za morzem — i o to nawet pytać nie chcemy, — ale od dnia powrotu do kraju, wszystko dawne skończone. Żyć będą, żyć muszą, jak nasze matki, babki, prababki, w domowej zagrodzie, nie wychodząc nigdzie bez męża, ani nawet na bazar i nie przyjmując żadnych mężczyzn w naszej nieobecności. Inaczej zaraz rozwód albo śmierć, bo tu u nas nie żarty. Nawet prawo za to karać nie może. Żona zawini — ona jest własnością męża, mąż jest jedynym jej sędzią na ziemi, on mocen wybaczyć, lub zgładzić ze świata.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRAWO PRZYRODZONE MOWY OJCZYSTEJ.



Autor świeżo ujawnionej w druku książeczki p. t. „Prawo przyrodzone mowy ojczystej“ z zapałem i siłą przekonania dowodzi, że mowa ludzka, a nadewszystko mowa ojczysta jest tak zespolona z ciałem i duchem człowieka, iż tworzy z nim nierozzerwalną całość. Nasze „ja“ splata się z tychże dwóch pierwiastków ciała i ducha, — jedno i drugie jest naszą własnością, ale do pełni rozwoju, do możliwości posilkowania się niemi, do współdziałania, potrzebną jest nam *wolność*. W dziedzinie ducha niema niewoli, bo duch jest iskrą nieśmiertelności, ale władze ciała krępują i ograniczają jego wzloty. Dlatego niezbędnem dla każdej jednostki, do prawidłowego jej rozwoju zasadniczym warunkiem jest *wolność osobista*. Prawo to zwane: *habeas corpus*, ogłoszone i przyznane przez parlament angielski w 1679 roku, oznacza: miej wolne ciało, wolne narzędzie ducha twego, i świadczy o zrozumieniu już wówczas i zapewnieniu potrzeby wolności osobniczej, przyrodzonej każdemu ze współobywateli. Wolność ciała, czyli nietykalność osobista niezbędną jest każdemu, gdyż ciało, jako podległe duchowi, gdy jest uciemiężane i ograniczane przynosi uszczerbek sprawności ducha.

Motorem, narzędziem, które w misterny sposób zspala te dwie władzące potęgi i kieruje formą ich objawień jest: *mowa ludzka*.

Mowa powstaje i kształtuje się na podsta-

wie fizyologicznej wraz z rozwojem całego organizmu; opiera się na budowie krtani, kształcie klatki piersiowej, jamy ustnej, układzie zębów, warg i języka, sprawności słuchu, nerwów czuciowych i ruchowych, pośredniczących w wydobywaniu prawidłowych dźwięków. Nadto wiemy, iż ośrodek mowy mieści się anatomicznie w lewej półkuli mózgowej, w trzecim zawoju czołowym kory mózgowej. Najlejsze wstrząśnienie mózgu spowodować może nieprawidłowe działanie, a zniesienie tego ośrodka nawet zupełną utratę mowy. Cała organizacja polega na prawidłowej budowie i harmonijnem oddziaływaniu wzajemnem wszystkich komórek i ich grup.

Widzimy zatem, że mowa jest organiczną częścią naszej jaźni, naszej osobowości. Każdemu człowiekowi, jako jednostce, a tembardziej każdemu narodowi, winna być zostawiona swoboda używania mowy, czyli języka ojczystego. Ten jest dla niego jedynie zrozumiałym i zespolonym z całem jego jestestwem. Dlatego każdy gwałt i przymus zadawany mowie jest gwałtem przeciwko osobowości człowieka, jest niewolą dla ducha narodu. Dlatego torturą jest dla dzieci i młodzieży, która zaledwie swój język poznawać zaczyna, i jeszcze nie doszła do doskonałej wprawy w posługiwaniu się nim, słuchanie w szkole wykładów w obcym, niezrozumiałym dla niej języku; dla tego biedni, nieoświeceni chłopcy są uciemiężani, wyzyskiwani i oszukiwani w sądach i urzędach, nie mogąc zgoła pojąć, co do nich mówią w „urzędowym“ języku, a dodajmy do tego, tonem zawsze podniesionym i gburowatym. Ta przemoc nad cierpiącą niemocą jest hańbą i upokorzeniem dla społeczeństwa i narodu, jest znęcaniem się silniejszego zwycięzcy nad niewolnikiem. Nauczanie prowadzone w obcym języku powoduje większy wysiłek mózgu u dziecka, tymczasem powinno ono nawet nie odczuwać, iż z życia przechodzi do nauki, ale to jeno zrozumieć winno, że nauka to tylko rozszerzenie, pogłębienie, udoskonalenie jego działalności życiowej. Ale do tego potrzeba, aby *język nauki nie różnił się od języka życia*; trzeba, aby w zetknięciu z życiem jego jaźń duchowna nie osłabła i nie zubożała. Duchowi to danem jest odczuć: uniesienie, radość, zachwyt, ból i ujawniać je na zewnątrz za pomocą mowy.

Każdy naród ma przyrodzone prawo do rozwoju, cech rasowych, bytu ekonomicznego i kulturalnego. Z rozwojem kultury doskonalili się język. Język literacki, język używany w terminologii fachowej, w naukach przyrodniczych, ścisłych, prawno-społecznych, w dziedzinie filozofii powinien urabiać formy coraz doskonalsze na wyrażenie odpowiednich myśli i określeń. Do pracy kulturalnej narodu potrzebna jest *swoboda* rozwoju i prawo powszechnego pielęgnowania, wzbogacania i używania naszej *mowy ojczystej*.

G. T.



PŁOMYK.

URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI.

Napisała

EUGENIA ŻMIJEWSKA.



(Ciąg dalszy).

10-go Grudnia.

Wernerzyca jest nickszenną podlizuską. Przed panią przełożoną udaje wielką moskiewicę, choć jest luteranką i nawet po rosyjsku nie bardzo dobrze mówi. Tem więcej stara się popisać, mają u niej łaski tylko prawosławne, a jak Polka co „przeskrobie“, to niech Pan Bóg bron! Wolałabym już mieć taką pannę Lenin, prawdziwą Moskiewkę, jak tę „podrabianą“, choć i panna Lenin „ziółko“. Póki byłam w domu, gdzie się ciągle mówiło po francuzku lub po angielsku, nie bardzo dbałam o to, co polskie. Dopiero tutaj uczulałam, że to wstyd, choć każą mi się wstydząć, że po rosyjsku nie umiem i mam okropny akcent. Jakże go nabrać w dwa miesiące! Ile razy professor mnie wyrwie, chciałabym wpaść pod ziemię, bo wiem, że i on, i cała klasa będzie „pękać“ ze śmiechu, i to nie tylko Rosyanki, lecz i Polki. Raz naumyślnie dyktował wiersze i mnie potem wezwał, że bym mu pokazała swój kajet. Wstałam i odrzekłam: „Ja jeszcze nie napisała“, — kładąc akcent na: *pi*. Aż szyby się zatrzęsły, tak wszystkie panny buchnęły śmiechem, a profesor powiedział:

— *Jeżeli wy jeszcze nie napisali, tak śadites.*

Potem dopiero dowiedziałam się, że powinno się kłaść akcent na *sa*, a nie na *pi*, bo to znaczy zupełnie co innego. I professor tak sobie ze mnie pozwolił żartować!

Gdyby nie ten przeklęty akcent i trudność wypowiedzenia się po rosyjsku, mogłabym być pierwszą uczennicą, bo wszystko rozumiem i prędko ogarniam. Co też przyszło rodzicom do głowy oddawać mnie tutaj, jak gdyby nie było pensyi polskich; ale mówiono, że języków obcych lepiej uczyć w Instytucie, niż na pensyi, bo są tu damy klasowe Francuzki i Niemki. Prawda, tylko one z nami nie rozmawiają, a choć niby przestrzegają, żeby panny między sobą mówiły dzień po niemiecku, dzień po francuzku, to choćby kto tego słuchał, niewielka byłaby korzyść, bo w całej klasie, oprócz mnie, żadna dziesięciu zdań nie skleci. Mogłabym tak samo śmiać się z ich francuzczyzny, jak one z mojej ruzczyzny. Gdyby mama słyszała, jak mówią one, jak Wernerzyca, odebrałaby mnie z pewnością. Czasem miałabym ochotę napisać o tem, że mnie tu źle i obco, jak gdybym nie była w swoim kraju. Cóż kiedy wszystkie listy czytają!

11-go Grudnia.

Wernerzyca przezwała mnie „gapą“, za to że mam zawsze usta otwarte. Cóż ja temu winna: nie mogę ust zamknąć, bo mam ciągle katar, więc mi oddychać trudno. Nauczycielka kaligrafii przezwała mnie kiedyś „otwartym kranem“, a panny w śmiech. Nietylko za ten katar mam się z pyszna, ale i za moje biedne rude włosy, i za brwi zrosnięte. Żadna nie mówi

o mnie inaczej, jak „półimperyal“ albo „jednobrewka.“

Znoszę cierpliwie, bo klócić się nie lubię, tylko czasem płaczę po kątach, ale jak mi raz Janowska powiedziała, że mam oczy zaspane, tego było już za wiele, zaperzyłam się okropnie i powiedziałam:

— Wszystko możecie mówić, że jestem ruś, że jestem „kluska“ i „gapa“, ale, że oczy mam ładne, to wiem i nie są zaspane, tylko rozmarzone.

Byłam taka zła, że aż się trzęsłam. Bo żeby też urągać moim oczom! Są śliczne — duże, siwe, z taką długą podkreśloną rzęsą. Niania mówiła mi zawsze, że takich drugich nie ma na świecie. Pocziwa nianusia: smutno mi bez niej.

12-go Grudnia.

Nie wytrzymałam — musiałam powiedzieć, że moja matka była baronówną, bo doprawdy, za dużo już sobie pozwalają te panny.

Wczoraj była niedziela i przyszła mnie odwiedzić ciotka Józia. Bardzo ją kocham, bo dla mnie serdeczna i nigdy nie mówi, że ja jestem zła, owszem całuje mnie i przygarnia do siebie, jak nikt. Ona jedna poznała, że lubię, gdy mnie pieszczą, tylko nie śmiem sama narzucać się z czułościami. Ale ciocia Józia bardzo nieładna, trochę krzywa i uboga. Ta ciotusia, kuzynka mego ojca, ubiera się bardzo skromnie, bo niema na stroje; przyszła do mnie w starym kapeluszu i nie w okryciu, tylko w szalu; ja nawet tego nie spostrzegłam, tak się jej ucieszyłam, ale siedziała niedaleko Madzia Wytrych i jak goście rozeszli się, zaczęła mnie przedrwiwać.

— Co to za szalowa dama była u ciebie? To pewno szewcowa z Podwała. Zkąd ty masz takie obskurne znajomości? — mówiła. — Do mnie, to przychodzą tylko panie w sukniach podszytych jedwabiem.

— To nie żadna szewcowa, ale moja ciotka i nazywa się nie Wytrych ani Zatrask, tylko Jabłonowska, — zawołałam, — a od szewców nie powinnaś wymyślać, bo możesz co usłyszeć o mularzach.

Bo to Madzia zawsze się chwali, że jej przodkowie byli baronami, ale dziad przez skromność przestał się tytułować. Jej matka na biletach wizytowych wypisuje sobie „de Wytrych Wytrychowska.“ Madzia opowiada o majątkach ziemskich i kamienicach, ale Bzowska z siódmej klasy dobrze ich zna i mówi, że stary Wytrych zrobił majątek na mularstwie. Ja to już dawno wiedziałam, ale nie nie mówiłam przez delikatność, bo co ona temu winna, że nie jest szlachcianką, tylko po co się chwali. Dopóki mnie nie zaczepiała, milczałam, ale nie pozwolę drwić z kochanej cioci Józii.

Wytrych się zaperzyła i zawołała do mnie:

— Wielka pani ukraińska! Twój ojciec pewno z kozaków, takich, co to odrabiali pańszczyznę i dostawali batami.

A ja na to powiedziałam zupełnie spokojnie:

— Moi dziadkowie dawali baty mularczykom, a moja babka była prawdziwa baronówna, nie taka, jak twoja od wytrychów.

Cała klasa była po mojej stronie. Przeważały Madzię „baronówną od wytrychów“ — nie żał mi jej, po co się „stawiała.“

Kilka panien, pytało mnie potem, czy moja babka była doprawdy baronówną, czy tylko tak mówiłam, żeby dokuczyć Wytryszance. Zakłęłam się, że jak Bożę kocham, mówię prawdę. Nie wiem, czy uwierzyły, bo u nas wszystkie blagują. Antosia mówiła, że jej rodzice mieszkają w pałacu, ale prawda wyjdzie zawsze na jaw, jak szydło z worka. Po Wszystkich Świętych wstąpiła do nas „nowa“ z tej samej okolicy i dowiedziałyśmy się, że p. Jawmont jest plenipotentem jakiegoś hrabiego, bawiącego stale za granicą i mieszka w pałacu, ale nie swoim. Panny dokuczały jej okropnie. Jedna po drugiej przychodziły do niej i mówiły:

— I ja mieszkam w pałacu.

— I ja.

— I ja.

— Wszystkie mieszkamy w pałacu, a tak samo nasz, jak tamten twój.

Że też te panny tak okropnie lubią dokuczać! Wszystko wyszperają. Wszystko wyśmieją. Tak mi tutaj obco. Żeby to mieć przyjaciółkę, albo kogokolwiek do kochania. Każda kocha się — to w profesorze, to w damie klasowej, to w pannach z wyższych klas. Ja jeszcze nie, ale bardzobym chciała.

10-go Kwietnia.

Mogę pisywać bardzo rzadko, bo nam naślepują na pięty i zaglądają do kasetek. Nie raz myślę, że niema większego nieszczęścia, jak być małoletnią, bo się jest oddana na łaskę i niełaskę nie tylko rodziców, ale i nauczycieli i dam klasowych. Choćby dziecku działa się największa krzywda, nie może bronić się, musi wszystko znosić, a jak czasem odpowie, zawsze to nazywają impertynencją. Ot, choćby ja, mam dosyć rozumu, żeby wiedzieć, że ze mną trzebaby inaczej postępować, — potrzebuję serca, czułości, a wszędzie, i w domu, i tutaj, są dla mnie surowi. Każde najdrobniejsze wykroczenie przedstawiają mi, jak zbrodnię, tak, że czasem zdaje mi się, że doprawdy jestem bardzo zła.

10-go Maja.

Zaczęły się egzaminy. Jestem bardzo osłabiona i spiąca, ale trzeba się uczyć. Lekcyj już niema; powtarzamy, powtarzamy bez końca, dają nam po pięć dni na każdy przedmiot. Ja uczę się z Łatkiewiczówną, ale dużo tracimy czasu na szept, — opowiadamy sobie o miłości. Jak tu się uczyć fizyki lub geografii, kiedy tak ślicznie w ogrodzie; bzy i jaśminy kwitną, wieczorami zapewne słowiki śpiewają, ale my tego nie słyszymy, bo każą nam wracać do klas przed zachodem słońca. Żeby już te egzaminy prędzej się skończyły! Chciałabym nareszcie pojechać do domu, tęsknię za rodzicami, nawet się mamy mniej boję, chciałabym już zobaczyć Zunię i nianię, i pokojówkę, Nastusię, nawet Ludwiczkę, choć jej nie bardzo lubię, od czasu jak mówiła, że mama podmalowuje sobie oczy.

25-go Czerwca.

Nareszcie! Już po egzaminach! Pierwszą nagrodę dostała Wernik — naturalnie, bo też „kuła“ jak prawdziwy kowal. Ja jestem piętnastą w klasie. Mogłabym być drugą, gdyby nie ten przekłuty akcent. Tak mi trudno wypowiedzieć to, co umiem, po rosyjsku. Nawet Werneryca, czyli Wiedźma, przyznaje, że je-

stem bardzo zdolna, zwłaszcza do literatury. Nie może mi tylko strawić tego jednego, że się zadaje z Natałką. Coś sobie do niej upatrzyła. Wogóle nauczyciele jej nie lubią, a wszyscy ją lekceważą, bo jest bezpłatną i bardzo ubogą. Ale to nie racya, żeby jej dokuczać i robić afronty, jak ta obrzydła Werneryca. Wczoraj, kiedy w kancelaryi stawiali stopnie, ona wpada do naszej klasy z profesorem geografii i z umoczoną rączką, rzuca się na Łatkiewiczównę; — myślałyśmy, że zwaryowała, ale na nieszczęście — nie; zaczęła pocierać brwi Natałki, potarła raz, drugi i podsunęła profesorowi rącznik pod oczy. Potem dowiedziałyśmy się od siostrzenicy przełożonej, że ten stary nudziarz, powiedział w kancelaryi, że dałby Natalce wyższy stopień, bo uczy się dobrze, ale że ma brwi farbowane, więc nie da. Werneryca podskooczyła, jak oparzona.

— To nieprawda! — zawołała, — ja moje panny dobrze pilnuję, a choć Łatkiewiczówna jest źle wychowana w domu i miałaby może ochotę malować brwi, ale w mojej klasie żadna nie miałaby na to czasu i sposobności, bo strzegę ich, jak oka w głowie.

I żeby pokazać, że ma rację, wyszła z tym profesorem, i zrobiła taki wstyd Natalce.

Ona, choć taka dzielna, zmieszła się okropnie i płaczem wybuchała. Pierwszy raz widziałam ją płaczącą i zrobiło mi się jej żal okropnie. Nie zważając, że Werneryca patrzy, objęłam ją w pól i całowałam. Bardzo lubię Natałkę. Ona jedna nie chwali się. Mówiła mi, że jej matka ma pracownię krawiecką. Jak to przykro być taką biedną i pracować na utrzymanie! Natałka miała nieszczęśliwe stopnie, choć dobrze się uczy, ale uchodzi za hardą. I ja przy niej nabieram trochę śmiałości i odwagi. Żal mi będzie zostawać się z nią na wakacje. Jeżeli po mnie przyjedzie ojciec, to odważę się może i poproszę go, żeby ją zabrał do nas. Wszystkie panny się rozjadą, zostanie tylko trzy, których rodzice mieszkają bardzo daleko. Nie zazdroścę im wakacyi. To dopiero damy będą się nad nimi pastwiły, z samych nudów. Mnie jutro zabiera wujenka na tydzień, bo wcześniej po mnie z domu przyjechać nie mogą — mama była znowu chora.

26-go Czerwca.

Wczoraj odbył się popis i akt uroczysty. W dużej sali postavili estradę, inspektor odczytał nagrody, pani przełożona rozdała je; potem kończące dostały patenty, każda kłaniała się (przez dwa tygodnie metr tańców uczył, jak mają chodzić i kłaniać się). Wszystkie były ubrane białe, z szarfami, wolno im było nawet spuścić grzywki i upiąć włosy wysoko. Chodziły, jak pawie; na nas nie chciały patrzeć. Wielka mi sztuka: I my za dwa lata skończymy i tak samo możemy stroić miny nie tylko piąto, ale i szóstoklasistkom. Zresztą, my już teraz jesteśmy w szóstej klasie. Jedną z nagrodzistek, Kisielewska, grała na fortepianie Sonatę pathétique Beethovena. Walentynowicz, — ta ładna z 6-ej śpiewała niewiem co, a nasza Wernik deklamowała „Die Glocke“ Schillera. Wyuczyła się doskonale, tak, jak to ona, ale powiedziała bez duszy, zimno. Natałka zadeklamowała by to lepiej,

tylko, że Wernerzyca jej nie cierpi, a lubi Wernik, bo jej się przypodobał.

Wieczorem był bal. Panny kończące miały wielkie powodzenie, zwłaszcza ładne; profesorowie rozmawiali z niemi, jak z dorosłymi, a było i dużo studentów. Nie dali im siedzieć ani chwili. Ja pasyami lubię tańczyć, ale nikt mnie nie brał; kręciłam się parę razy z Łatkiewiczówną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Praca dla przyszłości.

Wypadki i przejścia ostatniej doby, poruszyły od podstaw życie naszego społeczeństwa, a zarazem wykazały jaskrawo nasze braki i bolączki, przeciw którym tylko praca ogółu walczyć skutecznie może.

Jednym z braków, bodaj największą krzywdę społeczeństwu naszemu niosących, jest, wśród ludu naszego, wielka, przerażająca wielka liczba analfabetów.

„Kto będzie korzystał z wolności słowa drukowanego, kiedy w samej Warszawie jest prawie 400,000 analfabetów?” — pisał ludzie, zabierający głos w tej sprawie.

Walka z ogromem tego nieszczęścia wymaga wyteżonej, ześrodkowanej pracy całego społeczeństwa i grono osób, które ster tej pracy pragnie ująć w rękę, doszło do wniosku, iż organizacja tej prawdziwie obywatelskiej pracy oprzeć się powinna na punktach mniej więcej następujących:

Celem Stowarzyszenia kursów dla analfabetów dorosłych jest praca nad kulturalnym podniesieniem upośledzonych warstw naszego narodu.

§ 1. Jako środki, prowadzące do tego celu, stowarzyszenie uważa:

a) nauczanie czytania i pisanie w języku polskim, wraz z początkami arytmetyki;

b) urządzanie systematycznych pogadanek, wykładów i odczytów ze wszystkich dziedzin naukowych.

c) tworzenie wspólnych zwiedzań galerii, muzeów, organizowanie odpowiednich przedstawień teatralnych i t. d.

§ 2. Nauczanie prowadzi się grupami pod ogólną kontrolą komisji naukowej kursów.

§ 3. Nauczanie odbywa się głównie w godzinach wieczorowych.

§ 4. Jako miejsca nauczania służyć mogą lokale własne Stowarzyszenia, lokale szkolne, ofiarowane na ten cel sale fabryczne, biurowe i wogóle wszelkie odpowiednie pomieszczenia.

§ 5) Nauczycielem (nauczycielką) na kursach może być każdy, kto chce korzystać ze wskazówek, udzielanych przez komisję naukową Stowarzyszenia.

§ 6. Uczniem kursów może być każdy, kto wyszedł już z wieku szkolnego, bez względu na płeć, wyznanie i narodowość.

§ 7. Całkowita nauka, jak również pomoc naukowa, w zasadzie udzielana jest uczniom bezpłatnie.

§ 8. Stow. kursów czerpie dochody z opłat członków popierających (3 rb. rocznie), z ofiar jednorazowych, z urządzanych na cel Stow. odczytów, przedstawień teatralnych i t. d.

§ 9. Ogólne kierownictwo Stow. kursów zależy od komisji naukowej i komisji administracyjnej.

§ 10. Stowarzyszenie kursów posiada własną bibliotekę, zakłada czytelnie, organizuje specjalne wydawnictwa i wogóle stara się o wytworzenie warunków, najbardziej sprzyjających rozwojowi zakreszonej pracy.

§ 11. Stowarzyszenie kursów dla analfa-

betów dorosłych pozostaje pod kontrolą całego społeczeństwa, przez ogłaszanie we wszystkich pismach stałych, dorocznych sprawozdań ze swojej działalności.

Po wszelkie bliższe informacje interesowani zwracać się zechcą pod adresem: Nowy Świat, 41 m. 20., w godz. 5—7 wiecz.

Mieczysław Brzeziński, Ludwik Krzywicki, Nusbaum, M. Weryho-Radziwiłłowiczowa, Henryk Janowski, S. Pozner, J. Brandszteterówna, Al. Heflich, Jadwiga Siekierz-Cichńska, W. Nałkowski, M. Białowiejski, A. Wernicowa, K. Wójcicki, Mailnowski, Sójkowski, Baz. Stabrowski, Adolf Suligowski, Antonina Tuskówna, Jan Kurtz.

Z. S.

Królowie na wygnaniu.

Jesień na park mój przysła...

Czerwienią i złotem płaczą drzewa, oślizgłe czarne wijąc konary, jak sploty węzów, pod ołowianem niebem, po którym ciężkie, szare, nisko wloką się chmury.

Słup wody fontanny opada głucho, jakby lkał na pamięć złocistych dni lata i perli się łzami, opryskującami rosą astry sztywne, smutne...

Melancholii senne snują się godziny, nawodząc myśl na odwieczną znikomość rzeczy ludzkich, na efemeryczną przelotność najpożądniejszych i najmóżniejszych.

Leży przedemną stos pism paryzkich... W ciszy wiejskiej, w tym zapomnianym, starym parku, myśl wyswobadza się z pęt obowiązków i z trudem biorę się do codziennej pracy...

I jak akord nastroju nostalgii mego parku czytam zwykłą kronikarską wzmiankę:

„Królowa Ranawalo, usilnie oddawna prosząca o pozwolenie przyjazdu do Paryża, który tak lubi, przybywa w tych dniach do stolicy i zamieszka w willi w St. Germain...”

Skromne, pokorne żądanie tej, która autokratycznie rządziła tysiącami, dla których bliska bogów była, — dzisiaj więzien polityczny, zmuszona „prosić” o pozwolenie opuszczenia spalonej słońcem algierskiej ziemi, aby udać się do stolicy swych zwycięzców.

Jest coś nad wyraz smutnego w historii tych zwyciężonych, którym berło i koronę zastępują kajdany więźniów.

Ranawalo była królową i władczynią Madagaskaru. Objęła ona tron po swej ciotce, Razafindracheti, i była żoną księcia Ratrima.

Po śmierci tego ostatniego wyszła powtórnie za mąż, stosownie do zwyczajów kraju za pierwszego ministra Raimlairivoné, męża dwóch poprzednich królowych.

Wokoło niej gromadziły się burze, snuły się tajne intrygi, a biedna królowa w głębi swego pałacu, otoczona swym dworem najrzadziej ze wszystkich wchodziła w stosunki z Vahacasami, Europejczykami.

Snula swój złoty sen w tem mieście pałaców, z których największy, Manjukamiadara, dom pokoju, widniał na dwadzieścia kilometrów wokoło. Cieśniały się te pałace w około chaty Andrianoprimerina, rozpadającego się w proch gniazda dynastii.

W tym pałacu corocznie, w Październiku, odbywało się wielkie święto Howasów, słynna ceremonia kąpieli królowej — Fandrowana — w czasie którego wszyscy poddani mogli oglądać oblicze królowej. Święto trwało pięć dni, a przez te dni pogniwani krewni powinni byli się pogodzić, rozłączyć małżonkowie obojętni byli przebaczyć sobie swe winy.

Na tronie siedziała królowa w paradnej sukni, owinięta w czerwony lambu, obok niej,

w jedwabnym dolmanie, w krótkich spodniach, z podwiązkami z białych wstążek, dzierżąc w dłoni wspaniały pałasz, siedział pierwszy minister — mąż.

Minister wygłasza mowę, poczem królowa znika za zasłoną purpurową, gdzie kryje się wanna. Po chwili salwy armatnie ogłaszają „oczyszczenie” królowej.

W chwilę później wchodzi ona z powrotem, siada na tronie i pokrapia swych poddanych wodą z wanny, podaną w rogu bawolim, ozdobionym srebrem, poczem je garść ryżu z tegorocznego zbioru.

Burza tymczasem zbliżała się.

Howasowie prześladowali Francuzów, aż w 1896-tym wybuchła rewolucja, po której komendant Gerard, w imieniu generała Gallieni, zaborcy Madagaskaru, zjawił się o 7-ej wieczór u królowej z rozkazem wyjazdu.

O dwunastej w nocy czterystu tagarzy przenosi bagaże królowej, która rozpaczliwie szlochając nad utraconą władzą, przy świetle pochodni, otoczona wojskiem, opuszcza swą stolicę. Przez ośm dni karawana przedostaje się przez zaledwie naznaczone ścieżki aż do morza, gdzie czeka na nią parowiec francuzki.

Pierwszym etapem były wyspy Zjednoczenia, gdzie przebywał inny, zdetronizowany władca, sułtan Wielkich-Komorów — Saïd-Ali.

Odtąd królowa mieszka w Mustaphe, w Algierze.

Był moment niemal tragiczny, gdy w salonie ministra Kolonii, Ranawalo spotkała Villiers-de-La Myre, człowieka, który pierwszy podkopał jej władzę...

Czarne oczy królowej rzuciły jakieś tygrysie blaski, ale zgasły nagle we łzach, co je zaćmiły...

A przez ten czas salony ochoczym rozbrzmiewały śmiechem dzieci ministra, bawiących się w chowanego z siostrzenicą królowej, z księżniczką Maryą-Luizą.

A tam w dali, w Annamie, kona powoli inny król na wygnaniu, ów okrutny Behanzin Dahomejski, zapomniany w nędzy i opuszczeniu.

Co się dzieć musi w mózgu tych władców bezgranicznych, tych panów, którzy za synów bogów się mieli, ujarzmionych nagle przemocą wroga, wyzutyh ze wszystkiego, mających zaledwie na życie, a nie mających dość odwagi, aby je dobrowolnie skrócić.

Niema większej tragedii nad rozpacz jednego biednego człowieka! Ta tragedia, która się rozgrywała w mózgu Napoleona więzionego na Świętej Helenie, przechodzi grozą wszystkie pogromy Waterloo, Sedanów i Mukdenów...

I większym, rozpaczniejszym jest upadek tych, co na szczycie stali, od zwyczajnej nędzy takich, którzy nigdy nie zaznali w życiu, dziedzicznie od dziecka w błocie ulicy żyjąc.

Nędza proletariatu budzi litość i grozę, ale mniej jest potworną od nędzy tych, co z dobrobytu, z życia szczęśliwego i spokojnego, przewrotami losu schodzą w rozpaczne bezdomnych położenie...

I smutkiem ogarnia mnie los tej biednej Ranawalo, ze złocistego tronu swego zeszedł w ciasne komnaty najętego mieszkania i dzieje tego Behanzina, który napróżno tłumaczy, że nie tak okrutni były jego rządy i błaga dzisiaj o trochę pieniędzy, aby na stare lata żyć wygodniej, on, który skiniem ręki skazywał na śmierć tysiące swych poddanych.

K. D. - S.

Sztuka i literatura zagraniczna.



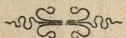
* Wśród wielbicieli talentu znakomitego pisarza włoskiego, Gabryela d'Annunzio, panuje rozgorączkowanie: oto autor w willi swojej Settignano pracuje nad nową powieścią p. t. „La madre folle“ („Szalona matka“). Fabuła rozegrywa się wśród rodziny mieszczańskiej na wybrzeżach tokańskich. Bohaterką jest młoda dziewczyna, zakochana, w której budzi się pragnienie macierzyństwa. Jednocześnie pracował autor nad drugim utworem, zatytułowanym „Amaranta.“ Temat współczesny: młoda kobieta opuszcza domowe ognisko i wstępuje do cyrku, gdzie pada ofiarą szalonej jazdy „Looping the loope.“ Chwilo-wo d'Annunzio wstrzymał się z pisaniem tej powieści, której treść zaczerpnięta została z życia, ponieważ rodzina zmarłej cyrkówki ofiarowała się z dostarczeniem autorowi różnych dokumentów, dotyczących życia bohaterki, a mogących wpłynąć na rozwój powieści. — W nowo-powstałym piśmie medyolańskim „Il rinascimento“, ukazały się pierwsze sceny tragedii d'Annunzio „La nave“, która wystawiona zostanie na wiosnę roku przyszłego w teatrze Scala w Medyolanie.

* Wiktoryn Sardou ukończył libretto do nowej opery Giordano p. t. „La festa del Nilo.“ Akcja rozgrywa się w Egipcie, na tle epoki zwycięstw napoleońskich. Niema w sobie nic historycznego. Jest to tylko historia miłości.

* Przed niedawnem odbyło się w Paryżu niezwykle przedstawienie słynnej operetki Le-coque'a „Pani Angôt.“ Dyrektor szpitala dla obłąkanych św. Anny, p. Guillot, którego zdaniem wesołe sztuki teatralne wywierają doskonały wpływ na zmysły chorych, zestawil zespół z łej chorych i kazał im się wyuczyć wyż wymienionej operetki. Przedstawienie wypadło nadspodziewanie świetnie. Rolę Ange Pitou odegrał chory, obdarzony bardzo miłym głosem tenorowym i doskonałym słuchem; inny zaś chory w roli komika zadziwił słuchaczy swoim dowcipem. Role kobiece znalazły też doskonałe przedstawicielki.

* Dramat Heyermansa „Ghetto“, odegrano po raz pierwszy na scenach niemieckich. Tłem sztuki jest życie ludzi w dzielnicy żydowskiej w Amsterdamie i starcie żydów nowych ze starymi. Sztuka miała niezbyt pochlebne krytyki.

m. l.



Z sali odczytów.



W znakomicie opracowanym odczycie mówił p. Jan Sosnowski o pokrewieństwie krwi w znaczeniu naukowym.

Transfuzja krwi jednego zwierzęcia do organizmu drugiego znaną już była w połowie zeszłego stulecia. W pewnych razach próby owe dawały pomyślne wyniki, w innych zaś przeciwnie, okazywały się zgubnymi. Na tej podstawie odgadywano więc oddawna, iż istnieć musi jakieś pokrewieństwo krwi różnych gatunków zwierząt.

Badania chemiczne składu krwi różnych zwierząt, dokonane na przełomie naszego stulecia, przez pewnego młodego uczonego w Genewie, wykazały, że krew zwierząt jednogatunkowych i między sobą pokrewnych jest w składzie swoim podobna, a podobieństwo tem jest dokładniejsze, im pokrewieństwo jest ściślejsze.

Krwii między sobą podobne łączą się doskonale, krwi zwierząt, stojących od siebie daleko w hierarchii ewolucyjnej, przy łącze-

niu się, wywołują zgubne następstwa, albowiem przy połączeniu, surowica krwi jednej rozpuszcza czerwone ciała krwi drugiej i wy-dala je.

Badania chemiczne napotykały niezwalczone prawie trudności, uczeni zatem uciekli się do metody biologicznej badań; i na tej drodze znakomite osiągnęli wyniki.

Wiedza odniosła tryumf prawdziwy. Przy pomocy biologii zdołano określić właściwy stopień pokrewieństwa zwierząt między sobą, a wyniki tych badań zbiegły się z wynikami przez teorię ewolucyjną ustanowionymi.

Odnosnie do człowieka, badania te stwierdziły, że najbliższe pokrewieństwo łączy go z małpą człokształtną, aczkolwiek bezpośrednio jej członkowie, — gatunki w ewolucji pośrednie, — dawno już wyginęły.

Odczyt p. Stefana Łaganowskiego należał do seryi odczytów geograficznych.

Prelegent mówił o przyczynach powstawania jezior o różnych ich rodzajach i przyczynach ich zaniku.

W dalszym ciągu mówił o różnym znaczeniu jezior; pod względem organizacyjnym w społeczeństwie, pod względem ekonomicznym i estetycznym.

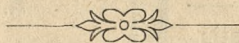
Odczyt illustrowały i urozmaicały liczne i piękne obrazy niktające, które bardzo podnoszą zajęcie słuchaczy.

P. Mieczysław Pożaryski drugi swój odczyt o elektryczności poświęcił elektryczności w ruchu, a więc prądom, ich wytwórczości i stosowaniu.

W jasnym, dostępnym wykładzie prelegent przedstawił proces przemiany postaci energii i możność otrzymania prądu elektrycznego ze wszelkich innych rodzajów energii, bądź chemicznej, mechanicznej, czy mechanicznej w polu magnetycznym, — oraz odwrotnie. możność zamiany energii elektrycznej na wszelkie inne rodzaje energii.

Objaśnienia zasad galwanometrów, akumulatorów i maszyn dynamo-elektrycznych były bardzo ciekawe i pouczające.

Z. S.



Kroniczka.



— Dnia 29-go Listopada upłynęło 75 lat od powstania w 1830-ym roku. Młodzież ze szkoły podchorążych, akademicka, wśród której wielką czynnością odznaczyli się Ludwik Nabelak i Seweryn Goszczyński, literat, zapoczątkowała wybuch powstania atakiem na Belweder, w którym przemieszkiwał wówczas naczelny wódz armii polskiej, Wielki Książę Konstanty. Powstanie to, na które złożyło się tyle dowodów męstwa, tyle bohaterskich ofiar, przetworzyło się w dziesięciomiesięczną wojnę, zakończoną poddaniem Warszawy Paszkiewiczowi. Pomimo upadku i niepowodzenia, wynikłego z braku sił odpowiednich, naród polski dał świadectwo swej żywotności i zaznaczył dobitnie wobec świata, że dobrowolnie nie ugnie karku pod jarzmo niewoli.

Cześć pamięci bojowników wolności!

— I znowu w imię dzieci mówić będziemy. W szeregu bieżących spraw nie jest to może największej wagi, ale z dobrem dziatwy i jej wychowaniem związana.

Jest uliczka wązka, bez wylotu, dawne czasy pamiętająca w historii naszego miasta, znana pod nazwą ulicy Starej. Tam pod № 2-im stoi budynek, poklasztorne siedziby przypominający, z opadłym tynkiem i pleśnią starości, popiołem czasu przysypany, ze statuetką Matki Bożej u wnijścia, nad którym zlocistymi literami widnieje napis: „Szwalnica I-sza.“ Jest ona najstarszą i najpierwszą w naszym mieście — istnieje już przeszło lat 22. Cicho tam, czysto, porządnie; duch Boży, ład i praca ześrodkowały się w tych murach, dających pomieszczenie, opiekę i naukę 500 przeszkolonym dziewczynkom. Siwa, typowa furtyanka, wita nas w progu, a Siostry zakonne uprzejmie wtajemniczają

w działalność wychowawczą zakładu. Biedne dziewczątka w wieku od lat 8-10 do 15-tu przyszywane są tutaj; sieroty, półsieroty i dzieci z bruku zbierane, znajdują tu pomieszczenie, naukę, pożywienie. Naturalnie kilka Sióstr zbyt jest obciążonych zajęciami, aby praca nad charakterem jednostek dostępną im była, czuwają jednak nad całą gromadką, aby dobry przykład i nauka dawały chociaż pierwsze posiewy na drodze samoukształcenia.

O południu zaroilo się, jakby otworzono ptaszarnię; dziewczątka mile, uśmiechnięte, wesołe, schludnie, lecz nad wyraz ubogo odziane, powybiegały z sal na odpoczynek i posiłek; składa się on z chleba i kaszy, nalożonej w blaszane jednakowe miseczki. Koszt posiłku wynosi 6 i 11 groszy. Ale nie wszystkie matki mogą się i na to zdobyć; zakład zmuszony jest czerpać z ofiar i wiele rozdawać bezpłatnie. Dla niejednego dziecka stanowi to nieraz całodzienny posiłek. Każda z dziewcząt obowiązana jest pozostawać w szwalni lat cztery, aby ukończyć całkowitą naukę, wyspecjalizować się i nawet rozpocząć już na miejscu zarabiac. Nauka obejmuje szycie białej bielej, reparacje, wyrób pończoch, krawieczyznę, haft biały, kolorowy i kościelny i inne ręczne kobiece roboty. Niektóre prace wykonane są z dokładnością i staraniem. Zakład prosi o dostarczanie pracy, przyjmuje szycie, wyprawy, obstalunki robót kościelnych: chorągwi, ornatów i t. p.

Jest to jedyny zasilek Szwalni i środek zarobkowania dla kończących uczenie, ofiary bowiem napływają nieliczne. Obecnie szwalnia pogrążona jest w wielkie kłopoty.

Pomieszczenie jest stare, zużyte, za ciasne dla ilości dzieci ustawicznie napływających, podłoga i filarki w jadalni zbutwiały domagają się koniecznej naprawy; dzieci nie mają gdzie jadać i siadać na schodach i w kurytarzach, co ze względu na zimę nie jest zdrowotne. Nadto w sali tej, jako największej w zakładzie urządzone bywają doroczne „Jasełka“, przedstawiane przez wychowanki i przynoszące znaczny zasilek zakładowi; jedna sprawa jest zatem z drugą związana, a brak środków wszystko uniemożliwia. Zarząd Szwalni otrzymał zezwolenie na zbieranie składek w celu wzniesienia nowego budynku, przeznaczonego na jadalnię do wysokości 25,000 rubli. W obecnej jednak chwili, któż sprawy jednej Szwalni ma na względzie! A jednak jest to potrzeba pilna i paląca, związana z istnieniem i wychowaniem tylu dzieci! Ograniczyć zapisy, to skazać te dzieci na wałęsanie się po ulicy, lenistwo, zły przykład i wszelkie rozwijające się wady, a także na wszelką nieumiejętność. Jeżeli nie wszyscy mogą korzystać ze światła wiedzy, to część przynajmniej musi zdobyć umiejętność pracy, pracy ręcznej, fachowej, dającej w przyszłości uczciwy zarobek. Pamiętajmy, że szwalnie mają także zadanie wychowawcze, kształcą szwaczki, hafciarki i t. p. pożyteczne pracownice, a możność ich rozwoju złożona w naszych rękach. Gdy im damy środki do dążenia z postępem, do wprowadzenia ulepszeń, to one skierują je dla dobra swoich wychowanek. Może taka nauka i praca dana w porę ocalą niejedną dziewczynę od zguby i zatrucia, wskazując jej wznioślejszy cel życia. Dla dziewcząt słabowitych, niedorożwiniętych, Szwalnia nabyła z trudem kolonię Ignaców pod Nowomińskiem (na Ter-resp. drodze) i wychowuje tam 70 dziewczyn, kształcą je na służące, wiejskie gospodynie i t. p.

Jako weteranka, mająca zasługi w wychowaniu wielu dziewcząt, jakie w ciągu 22-let w murach swoich gościła, Szwalnia I-a (która zapoczątkowała cały szereg takichże instytucji w naszym mieście), zasługuje na najwyższe poparcie i zainteresowanie ogółu, który nie poskąpi swej czynnej pomocy.

Treść numeru:

Od Redakcji. — Sad Boży, obrazek z XII-go stulecia, przez Teodora Jeske-Choińskiego (ciąg dalszy). — Kasztelanka i kwiat (wiersz), przez Stefanię Podhorską-Okołową. — List otwarty do kobiet polskich, przez M. Rolicz-Staniecką. — Mikołaj Rej z Nagłowic (w pięćsetną rocznicę urodzin), przez E. Jerlicza (dokończenie). — Serce, odczyt d-ra Henryka Nusbauma (ciąg dalszy). — Z pobytu na dalekim szlaku, przez A. Triplinównę (ciąg dalszy). — Prawo przyrodzone mowy ojczystej, przez G. T. — Płomyk (urywek z większej całości), przez Eugenię Żmijewską (ciąg dalszy). — Praca dla przyszłości, przez Z. S. — Królowie na wygnaniu, przez S. — Sztuka i literatura zagraniczna, przez m. l. — Z sali odczytów, przez Z. S. — Kroniczka. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 5-ty powieści Ryszarda Voss'a p. t. „Willa Falconieri“, w przekładzie Maryi Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 22). — Przepisy kuchenne.

PARYŻ 1900
GRAND PRIX.



ST. LOUIS 1904
HORS CONCOURS.

= Towarzystwo Akcyjne =
FABRYKI MEBLI WIEDEŃSKICH

„JAKÓB i JÓZEF KOHN”

WARSZAWA — MARSZAŁKOWSKA 145.

POLECA



MEBLE do codziennego użytku,

Salonowe
Gabinetowe

MEBLE

Fantazyjne
Dziecinne

Całkowite urządzenia sypialni
i stołowych pokoi w stylu
„moderne” i angielskim.



NA GWIAZDKĘ! Instrumenty Muzyczne i Gramofony

w pięknym tonie, różnej wielkości

TANIO!! poleca TANIO!!

F. GRIMM dawniej JÓZEF CZEKALLA

w Warszawie, Rymarska 7 obok Izby Skarbowej. Telefon 6462.

Wysyłka na prowincję za zaliczeniem.

Cenniki gratis i franco

Herman & Grossman

Warszawa,
Mazowiecka
Nr. 16.
Telefon 555.

Fortepiany, fabryk krajowych i zagranicznych
Pianina i Organy w wielkim wyborze

Petersburg
Moskwa.

SPRZEDAŻ NA ROZ-
PŁATY MIESIĘCZNIE
PO 25 RUBLI.

WYNAJEM WYBOROWYCH
INSTRUMENTÓW.



ANGELUS—ORCHESTRAL
PIANINA
„CROWN”—„SYMPHONY”

Cenniki ilustrow. gratis.

STEFAN RZYMSKI

Księgarnia Skład Nut i Czytelnia

Warszawa - Praga, Wileńska № 1.

Poleca na Nadechodzące Święta Książki gwiazdkowe dla
dzieci i młodzieży, wielki wybór Kalendarzy do zdzierania.



FOSFATYNA FALIERA,

przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwi-
szcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. Ułatwia żabkowanie
i zapewnia prawidłowy rozwój kości. Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Ostrzegamy przed naśladownictwami.

Wydawca: **Piotr Laskauer.**— Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

APTEKA Ap. KOWALSKIEGO

(wynałazcy Sudorynu od potu i Klawioliu na odciski) w Warsza-
wie, Graniczna 10, wyrabia podług przepisów, kupionych z apteką od
Wl. Russyana, lat 25 znane:

PASTYLKI OD ZGAGI,

natychmiast usuwające palenie w gardle, żołądku i odbijanie się, zwi-
sza po użyciu trunków, smak kwaśny, nadmiar kwasów, wzdęcie i ból
żołądka, oraz ułatwiające trawienie C. 40 k.
Robią się bez domieszki szkodliw. dla traw. klejów, lecz przez sprasow.
sody z pepsyną.

GRANULKI OD KASZLU,

chrypki, duszności i astmy, 60 i 35 k. Wyrób bez ciał. klejów.
BRASIKON od BÓLU GŁOWY, ZĘBÓW i MIGRENY,
80 i 40 k. Bras. tualet. 250 i 150 k. za fl. paryski.

Prawdziwe, skuteczne i bez kleju tylko z 3-kolor. podpis. Russy-
ana i firmą apt. Ap. K-go. Sprzedaż w składach aptecz. i aptekach. Strzedz
się naśladow. 40 k. przesył. leków 60 k. do 3 rb. Do Azji 70 k., za zad. 1 rb.

CECHOWA SZKOŁA RZEMIOŚL

K. MACZYŃSKIEJ - METHAL

Mazowiecka 11, m. 7.

Przyjmuje na krój — szycie krawiecczynny,
bielizny, hafty białe, kolorowe, patenty ce-
chowe. Introligatorstwo galanterijne książ-
kowe. Ma'arstwo, rysunki zastosowane do
rzemiosł, wypalanie. Roboty nauczycielskie
z patentem szkolnym. Słójd dla dorosłych
i dzieci.

ZAKŁAD

Gimnastyki Szwedzkiej i Masażu,
dla Kobiet i Dzieci

ANTONINY ROHR

Plac Ś-go Aleksandra 8 m. 24 dom Junga.

Zapisy od d. 1 Października, między 12—6 pp.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

LEOKADYI MAX

Warszawa, Marszałkowska № 113

(Zielna № 8) parter.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

WASILEWSKIEGO,

Warszawa, Marszałkowska 123,

poleca: nauczycielki, bony, freblówki;
sprawdza cudzoziemki.

Prasuje

bieliznę męską bez szkodli-
wych dodatków.
Warecka № 9 m. 8.

Aromatyczne **PERFEKT** Mydło
w proszku.

Do prania bielizny, mycia i szorowania wszelkich przedmiotów.

Znakomite i higieniczne do kąpieli.

Żądać we wszystkich Składach Aptecznych i Mydlarniach.

Woda Kolońska

Centr. Labor. Chemicz. ruguje znaną
zagraniczną wodę Kolońską, gdyż w do-
broci nie ustępuje jej, a w cenie tańsza.

Poleca perfumerya i skład apteczny

A. CZEKAYA, Marszałkowska № 108 róg Chmielnej.

PUDER

DELICIA

w pud. po 15, 30 i 50 kop.

Centralne Laboratorium Chem.

(Czekay i Krysiewicz) w Warszawie.

Najmilszy, przylegający, niewidoczny.

Sprzedaż w składach aptecznych i perfumeryach.

TYLKO RUBLA

w Warszawie, a rb. 1 kop. 25 na prowincyi i w Ce-
sarstwie wynosi prenumerata kwartalna tygodnika ilu-
strowanego

„**NAOKOŁO**
— **ŚWIATA**”

Jedynе pismo polskie podróźnicze

wychodzące od r. 1902.

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura dzienników, oraz
Redakcja Elekoralna № 18, Telefonu № 137, w Warszawie.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

(Dok. opisów do Nr. 49).

№ 24. Suknia przybrana taśmą i aksamitem.

Materyał: granatowe dość ciężkie sukno. Spódnica, sporządzona na podszewce, składa się z aksamitnego dołu w kształcie kolistej, szerokiej falbany, i z wierzchniej, zębato wyciętej spódnicy, spadającej na aksamitną w rodzaju tuniki. Wierzchnia, sukienna spódnica, bogato przybrana taśmą czarną, kamelową, nad każdym zębem naszyta w fantazyjne pętle. Przód tuniki nieco wykrajany po bokach tworzy podłużne otwory, podłożone aksamitem. Odpowiednio wycięty przód bluzkowego stanika, otwarty na białej kamizelce z *crêpe de Chine'y*, zakończonej wysokim, stojącym kołnierzykiem, zdobnym pasmanterią i grelotkami. Pasek zmarszczony z aksamitu. Rękawy naszyte trzema szeregami taśmy.

Potrzeba 5 mtr. sukna podw. szer., $3\frac{1}{2}$ mtr. aksamitu, 50 mtr. taśmy, 12 guzików, 1 mtr. sznura na pętelki, $\frac{3}{4}$ mtr. mat. *crêpe de Chine*.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 50.

№ 1. Kostium z materyału w kratę, przybrany taśmami.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 40—47).

Kostium z brązowego, angielskiego materyału w nikłą szeroką kratę, ożywia kamizelka z wzorzystego materyału w tonie brudno ponsowym. Spódnica w około równa, zakończona stebnowaną plisą z materyału, naszyta w fantazyjne koła kamelową taśmą w cieniu materyału. Bluzkę, złożoną w płaskie fałdy, oprócz taśmy przybiera plisa z aksamitu, w ciemno-brązowym kolorze. Pasek i mankiety odpowiednie do przodu bluzki, wykonane z aksamitu i taśmy. Małe mankieci i napierśnik z gipiury na podłożeniu z kremowej materyi.

№ 2. Domowa suknia z materyału w prążki.

Spódnica powłóczysta, sporządzona na oddzielnej podszewce, przód odznaczony ma nastębnową plisą z poprzeczenie skrojonego materyału, rozszerzoną w doła i zakończoną w rodzaju szerokich patek, umocowanych guzikami. Drobną uplisowaną bluzkę dopełnia gorsecik, spięty na ramionach szeleczkami z poprzecznego



№ 2. Domowa suknia z materyału w prążki.

№ 1. Kostium z materyału w kratę, przybrany taśmami.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 40—47).

materyału. Rękawy do łokcia bufaste, poniżej wąskie. Jedwabna taśma, w dobranym do sukni kolorze przybiera stojący kołnierzyk, mankiety i bawecikowy pasek.

Potrzeba: $6\frac{1}{2}$ mtr. wełn. mat. podw. szer., 4 mtr. taśmy $1\frac{1}{2}$ ctm. szer., $1\frac{1}{2}$ tuz. guzików.

№ 3. Domowa suknia z materyału w kratę.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 99—104).

Materyał: wełna w drobną ciemno ponsową i zieloną kratę. Gładką spódnice, wykonaną na oddzielnej podszewce okalają skóśne plisy, podłożone wypustką z zielonego taffetas. W płaskie fałdki ułożony, bluzkowy stanik, podłużnie wycięty z przodu, wypełnia kamizelczka z żółtawej koronki, zakończona w kształcie żabetu i przewiązana czarną, atlasową wstążką. W około wycięcia naszyte drobne, złote guziczki. Oryginalne rękawy zestawione z bufy wsuniętej w wązki, na wierzchu przecięty rękaw, wykonany wypustką z taffetas i naszyty szeregiem drobnych guziczków. Pasek marszczony z taffetas.

№ 5. Snuknia wieczorowa, przybrana koronkami.

Suknia z jasnej lub kremowej *crêpe de Chine'y*, albo z jedwabnego woalu składa się z płasko ułożonej spódnicy i odpowiednio ułożonej bluzki, spiętej wyzokim bawecikowym paskiem z materyi Liberty w blade lila kolorze. Spódnice, wykonaną na suto wygarbirowanym spodzie z taffetas, przy-

bierają gipiurkowe wstawki w 2-ch szerokościach i koronkowa falbana. Stanik, rozszyty wstawką, okala w około wycięcia szersza wstawka i koronkowa, bogata falbana, przepięta na ramionach lila aksamitem, zakończonym pukielkielkiem i strasowym guzikiem. Także aksamitka przewiązuje krótkie bufki, zakończone falbaną z koronki.

№ 6. Toaleta wieczorowa z koronkową spódnicą i z adamaszkowym stanikiem z długimi połami.
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 1—11).

Białą jedwabną spódnice pokrywają szerokie koronkowe falbany. Stanik z białego adamaszku w bukiety róż pompadour, sporządzony na białym atlasie Liberty i przepasany marszczonym, białym lub różowym paskiem z takiegoż atlasu, dopełniają odcięte, długie poły. Wycięty stanik z odłożonym w około wycięcia kołnierzem, wypełnia koszulka z plisowanego chifon, chusteczkowo ułożona i z jednej strony spięta związaniem z koronki. Rękawy do łokcia, przepięte koronką, złożoną żabotowo, zakończają koronkowe falbany.

№ 7. Aksamitne ubranko dla chłopczyka od 4—5 lat.

Ubranko z granatowego aksamitu składa się z krótkich majteczek, przszytych do stanika z podszewki i z prostej, luźnej kurteczki, sporządzonej na fularowej podszewce, otwartej na kamizelce, naszytej na staniku, przybranej żabotowo ułożoną koronką. Kołnier batystowy oszyty koronką i odpowiednie mankiety dopełniają przybrania.

Potrzeba: $2\frac{1}{2}$ mtr. aksamitu, $1\frac{1}{2}$ mtr. fularu, 6 mtr. koronki.

№ 8. Strojna sukienka dla dziewczynki od 7—9 lat.

Sukienka z białego fularu do prania, sporządzona na batystowym spodzie, składa się z plisowanej, zakładkami zakończonej spódniczki i z długiej, tak samo plisowanej bluzki. Przybranie stanowią: kołnier i rękawki gipiurkowe, szelki na bluzie i opaski na rękawach umocowane strasowymi guzikami, oraz szarfa z wstążki chinée.

Potrzeba: $9\frac{1}{2}$ mtr. fularu, $1\frac{1}{2}$ mtr. wstążki chinée 15 ctm. szer., $\frac{1}{2}$ mtr. gipiury 40 ctm. szer.

№ 3. Domowa suknia z materyału w kratę.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 99—104).



№ 5. Suknia wieczorowa, przybrana koronkami.
Aksamitne ubranko chłopca od 4—5 lat.
№ 7. Strojna sukienka dla dziewczynki od 7—9 lat.
№ 9. Wieczorowa suknia z materji pongé, przybrana wstawkami i koronkami Valenciennes. (Krój odw. str. tabl. Fig. 65—73).

№ 9. Wieczorowa suknia z materji pongé, przybrana wstawkami i koronkami Valenciennes. (Krój odw. str. tabl. Fig. 65—73).

Lekka i strojna toaleta z materji pongé, rozszywana wazkami wstawkami, składa się ze spódnicy sporządzonej na jedwabnym wyfalbankowanym spodzie i z luźnej, z tyłu zapiętej bluzki. Spódnice ułożona w górę w drobne zakładeczki, zakończą wysoka falbana złożona w takie same zakładki, w dole oszyta falbanką marszczoną, strojną koronkami. Falbana, stosunkowo do swej wysokości rozszyta wstawkami. Z przodu dwa razy, od boków trzy, dalej cztery razy. Bluzka wstawkami poprzecznie rozszyta, ujęta w karczek z wstawek i z plisek z materjału, w około karczka oszyta falbaną, odpowiednią do falbany u spódnicy. Rękawy, sięgające łokcia, ułożone w poprzeczne zakładki, zakończone falbankami i koronką.

№ 10. Strojna suknia na obiady prozowane, wieczorowe zebrania i t. p. (Patrz szkic a).

Chiffon w tonie rezedy, pastel, w nieco ciemniejszym tonie aksamit, koronki malines i stylowe gipirowe motywy składają się na bardzo strojną toaletę. Spódnica wykończona na spodzie z taffetas w dobranym kolorze, ułożona w kontrafaldy, pod którymi w górę przeciągnięte poprzeczne zakładeczki. Na aksamitny dół sukni opada falbana z koronki, przszyta pod motywami z gipiury, zębato obejmującymi suknię z chiffon. Bluzkowy stanik z aksamitu, obciśnięty gorsecikiem z chiffon, wypełnia kołszulka z plisowanego chiffon. Krótkie rękawy bufiaste z aksamitu zakończają mniejsze bufy z chiffon i falbany z koronki. Cały stanik bogato przybrany gipiurą.

Potrzeba: 6½ mtr. chiffon podw. szer., 7½ mtr. aksamitu, 9½ mtr. motywów gipiurów, 5 do 7 cm. szer., 3 duże motywy, 12 mtr. koronki 10 cm. szer., 1½ mtr. 3 cm. szer.

№ 11. Bluzka z materji jedwabnej.

Bluzkę z materji jedwabnej gładkiej, przybiera oprócz gipirowego karczka i rękawów, materjał pekiné w prażki. Przód jakby oddzielnie nałożony,



Szkic a do ryc. 11.



Szkic b do ryc. 13.



№ 4. Uczesanie do wieczorowej toalety.



№ 10. Strojna suknia na prozowane, wieczorowe zebrania i t. p. (Patrz szkic c).

zastępniany w poprzeczne zakładeczki, wykończony wypustkami z materji pekiné. Kołnierzyk i krawatka z tejsze materji, przeciągnięta przez karczek i przecięty przód. Wysoki bawecikowy pasek z materji gładkiej. Rękawy bufiaste, przybrane suto, odpowiednio do przodu.

Potrzeba: 6½ mtr. taffetas, 1 mtr. materji pekiné, ¾ mtr. gipirowego materjału, 1½ mtr. koronki 8 cm. szer., 6 guzików.

№ 12. Domowa suknia dla młodej panienki. (Krój odw. str. tabl. Fig. 74—79).

Materjał: welna w dowolnie wybranym kolorze. Przybranie: falbaneczki z materjału lub z taffetas, aksamit w ciemniejszym tonie i gipirowy karczek, zakończony zabotem. Spódnica, zastębnowana w górę w płytkie zakładeczki, zakończą wysoka, kolistą falbaną, naszyta plisami, podłożonemi wypustkami i falbaneczkami. Bluzka namarszczona, w około karczka obłożenie z aksamitu i falbaneczki. Rękawy do łokcia bufiaste, poniżej obcisłe, zapięte na guziki i zakończone mankietami aksamitnym. Pasek, marszczony aksamitny, zapięty na guziki.

№ 13. Kostium z długim paltotem z materjału w kratę. (Patrz szkic b)

Kostium z grubego, angielskiego materjału w ciemno granatowe i zielono krały przybierają: kremowa sukienna kamizelka, granatowy aksamit i ozdobne guziki. Spódnica, wykończona na podszewce, od przodu nałożona jakby druga, kolistą krojoną spódnica. Wcięty stanik z długimi połami, otwarty na kamizelce, zapiętej na 2 rzędy drobnych perłowych guzików. Wykładany kołnierzyk z wylogami, klapki, nasładowe kieszonki i małe mankiety przy złożonych poprzecznie rękawach wykonane z granatowego aksamitu. Nadto rękawy dopełnione obeszłym mankietem, odpowiednim do kamizelki.

Potrzeba: 8½ mtr. materjału w kratę podw. szer., ½ mtr. aksamitu, 60 cm. sukna, 3½ tuzina guzików perłowych, 10 guzików ozdobnych.

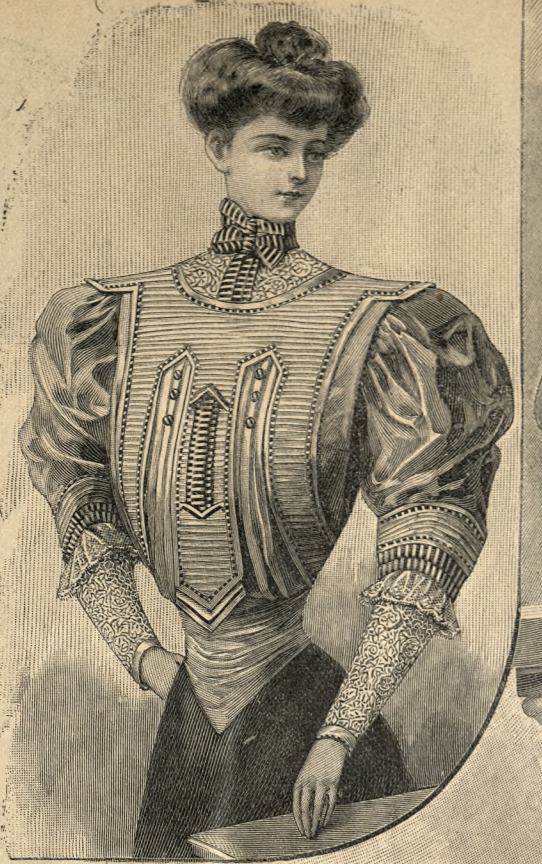
Obiad na niedzielę.

Tapioka z grzankami z parmezanem.
Pasztet z ryby z sosem tatarskim.
Kotlety pożarskie z cytryną.
Szpinak z rakowemi szyjkami.
Pieczeń sarnia obłożona kwiczołami.
Sałata, kompot.
Galaretka ponczowa.

Rosół z francuskimi kluskami.
Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem.
Zając z borówkami.
Galaretka cytrynowa.



Szkic c do ryc. 10.



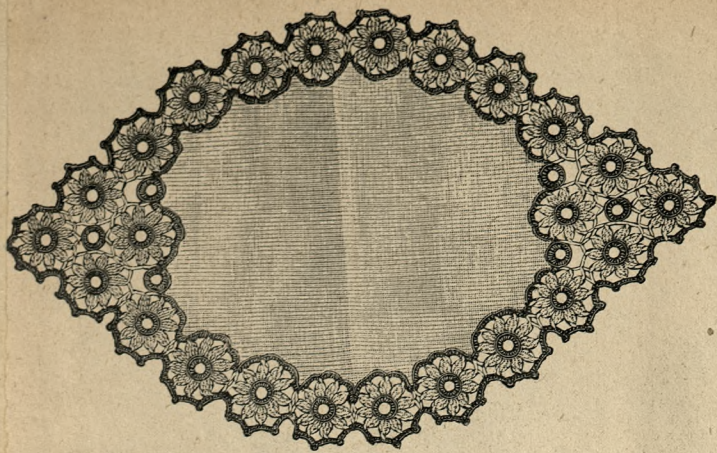
№ 11. Bluzka z materji jedwabnej. (Patrz szkic a).

№ 13. Kostium z długim paltotem z materjału w kratę. (Patrz szkic b).

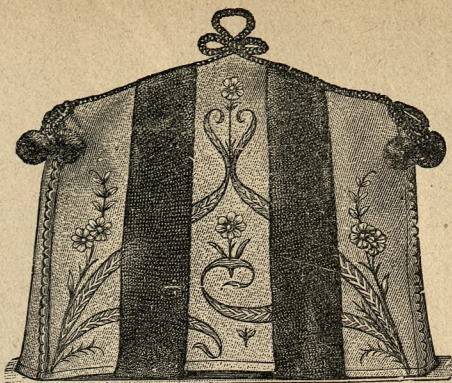


№ 12. Domowa suknia dla młodej panienki. (Krój odw. str. tabl. Fig. 74—79).

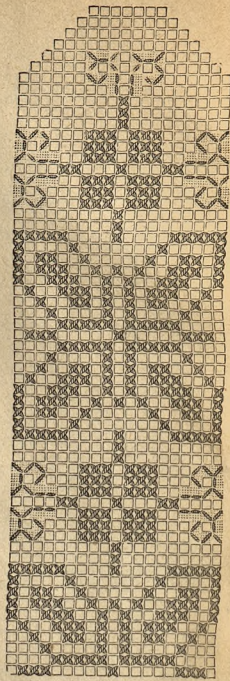
№ 14. Kostium z pluszowym kaftanikiem.



№ 15. Serwetka na tace, zdobna gwiazdkami robotą szydełkową.
(Bawełna w 2 ch kolorach).



№ 16. Przykrycie na imbryk z herbatą.
(Materiał bawełniany w pasy, haft bawełnami do prania).



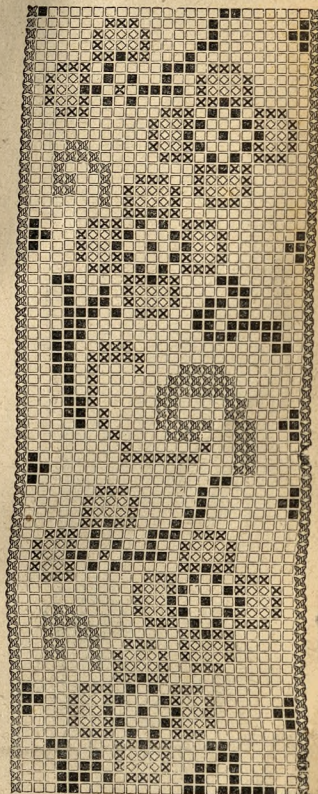
№ 18. Wzór wyszycia do ryc. 19. ($\frac{3}{4}$ oryginal. wielkości).



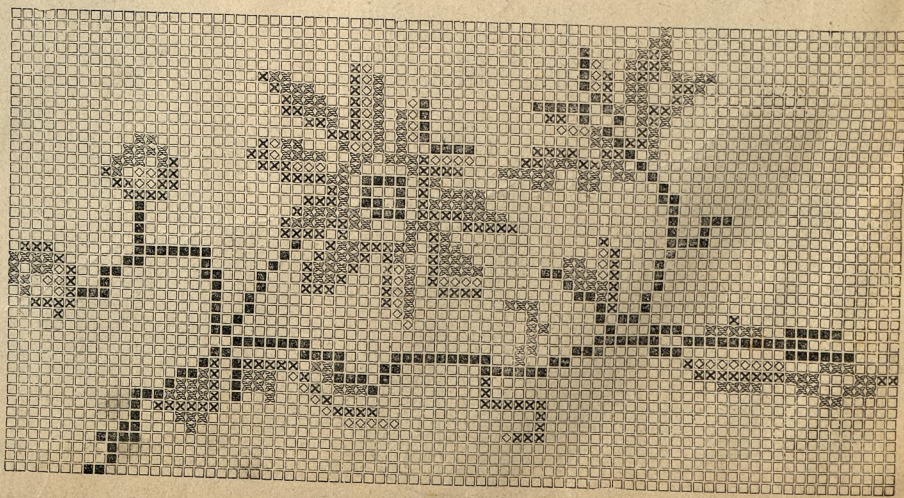
№ 17. Sukienka z rękawami z jednej sztuki dla chłopczyka od 3—4 lat.
(Patrz ryc. 20 i 22).
(Krój i wskazówek pier. str. tabl. Fig. 55—57).



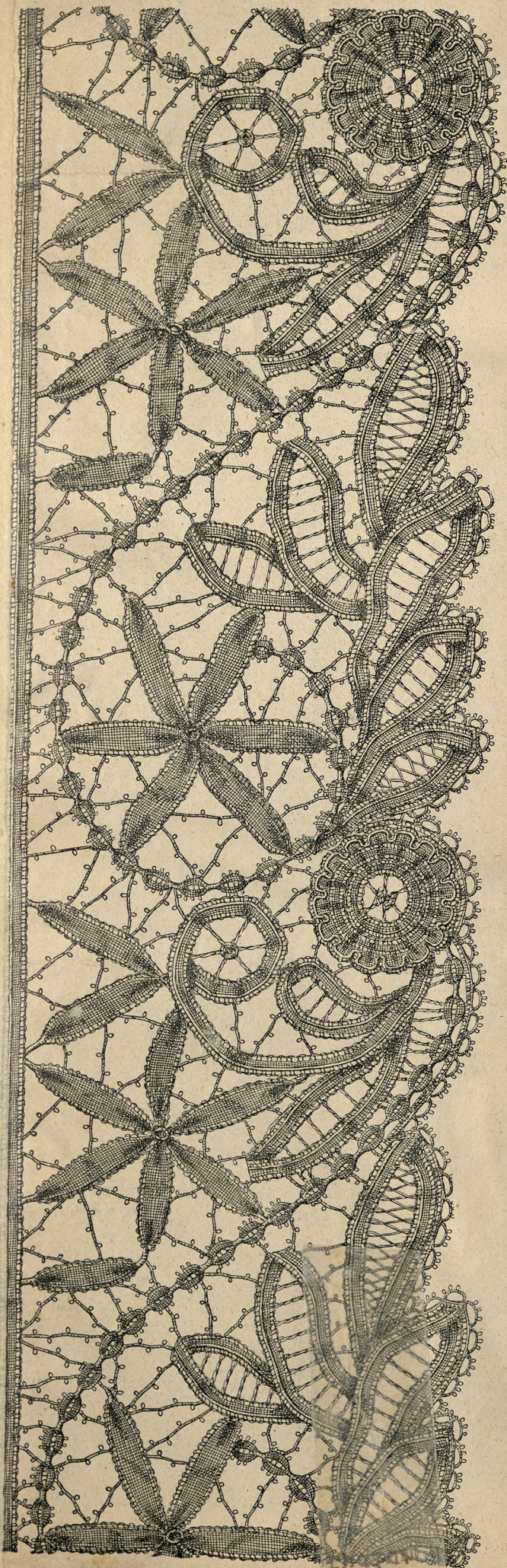
№ 19. Sukienka zdobna krzyżykowem wyszyciem. (Patrz ryc. 18). (Krój i wskazówki pier. tabl. Fig. 51—54).



№ 20. Wzór wyszycia do ryc. 17. ($\frac{3}{4}$ oryginal. wielkości).



№ 22. Wzór wyszycia do ryc. 17.



№ 21. Koronka Bruges z tasimieczek point-lace miniardizy i koronkowych ściegów.